

D
VF
JW
11227

BIBLIOTEKA WOLNOMYŚLICIELA № III.

JÓZEF LANDAU

(JÓZEF KRAJEWSKI)

**KATECHIZM
WOLNOMYŚLICIELA**

Nakładem
Spółdzielni Wydawniczej
„BEZ DOGMATU“

W A R S Z A W A 1 9 2 7

KATECHIZM WOLNOMYŚLICIELA

Wszystkie prawa autorskie zastrzeżone.
Copyright by Józef Landau, nineteen hundred twenty seven.

H-122798

Zakłady Graficzne B. Pardecki i S-ka z o. o. Warszawa, Pańska 4. Tel. 322-00.

JÓZEF LANDAU

(JÓZEF KRAJEWSKI)

11227

KATECHIZM
WOLNOMYŚLICIELA

NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „BEZ DOGMATU“

W A R S Z A W A

1927.

26



11227

TEGOŻ AUTORA

BÓL — prolog do tragedji — 1897.

ODRODZENIE — poemat — 1901.

CZŁOWIEK — poezje — 1903.

CZŁOWIEK SAM W SOBIE.

Stow. Spółdz. „Książka” 1921.

NA PROGU POZNANIA. Księg. Społ. „Książka” 1922.

POD PIECZĘCIĄ MILCZENIA.

Księg. Społ. „Książka” 1922.

SZKICE PRZECIWWYZNANIOWE

Biblioteka Wolnomyśliciela, 1923.

GEGEN DIE RELIGIÖSEN VORURTEILE (w tłumaczeniu żydowskim) Biblioteka Stow. Wolnomyślicieli Polskich, 1924.

D. 21.12.57.

A. 2590

W S T Ę P

Gdy przed dwoma laty żegnałem się z czytelnikami „Myśli Wolnej”, składając jej kierownictwo w godne ręce prof. Jana Baudouin de Courtenay, podałem jako jeden z motywów mego ustąpienia — chęć napisania obszerniejszej książki.

W ciągu kilku lat wygłosiłem cały szereg odczytów, zarówno w Warszawie, jak i w różnych miastach prowincjonalnych; jakkolwiek odczyty te poruszały odrębne tematy, łączyła je jednak pewna myśl przewodnia, pewna wspólna idea. Powziąłem więc zamiar opracowania tych tematów, powiązania luźno rzuconych myśli w pewną całość logiczną.

Płodem tej mojej pracy jest właśnie niniejsza książeczka. Zawiera ona odpowiedzi na niejedno z pytań, jakie otrzymywałem w listach od moich czytelników, a na które nie mogłem dawać wyczerpującego wyjaśnienia w krótkich artykułach dziennikarskich. Logiczna droga myśli zmusiła mnie też do włączenia do treści tej książeczki — drukowanej niegdyś w „Myśli Wolnej” rozprawki o obrzezaniu.

Tytuł książki „Katechizm Wolnomyśliciela” zawiera w sobie pewne *contradictio in adjecto*, co zresztą tłumaczę obszerniej w jednym z początkowych rozdziałów. Może słuszniej byłoby dać nazwę: „Rozmyślenia wolnomyśliciela”. Postanowiłem wszakże pozostawić tytuł, jaki nadałem w swoim czasie jednemu z odczytów, stanowiącemu podstawową treść tego zbiorku.

Nie chciałbym, aby ktokolwiek pomyślał, że celem moim było wyśmiewanie się z cudzej wiary; daleki byłem od tej myśli, przeciwnie nawet, w jednym z rozdziałów (Wiara, religja, wyznanie) stwierdzam olbrzymią wagę wiary jako probierza rozwoju umysłowego jednostki ludzkiej. Z mniejszym natomiast daleko pietyzmem odnoszę się do wyznań i do form religijnych, które przeważnie zastępują i paczą czystą wiarę. Staralem się w miarę możliwości o poważny rozbiór różnych wierzeń i przesądów, co jednak, wyznaję, nie zawsze mi się udawało, gdyż czasem przy rozpatrywaniu oddzielnych dogmatów „porywał mnie śmiech pusty, a czasem litość i trwoga”.

Wyraźnie jednak w tym miejscu stwierdzam, jako wolnomyśliciel, że sam jestem człowiekiem głęboko wierzącym i z bezwzględny szacunkiem odnoszę się do szczerzej wiary każdego człowieka. Nie utożsamiamy tylko wiary z systemami społeczno-religijno-wyznaniowymi, których rozbiór krytyczny jest prawem i poniekąd obowiązkiem każdego wolnomyśliciela.

Zastrzeżenie to uważam za tem konieczniejsze, że spotkać mnie może zarzut umyślnego poniżania wiary z powodu stałego pisania wyrazu „bóg” przez małą literę. Zarzut byłby stanowczo niesłuszny: „bóg” jest rzeczownikiem pospolitym i oznacza istotę wyższą, obdarzoną nieskończoną siłą, mądrością i t. p. Nosi jednak rozmaite imiona własne jak: Jehowa, Chrystus, Brahma, Manitu, Ra i t. d. Pisanie „bóg” przez dużą literę pochodzi stąd, że każdy kościół uważa swego boga za jedyne prawdziwego BOGA, wszystkich zaś innych—za fałszywych bogów. Dla nas wszakże, którzy stawiamy świętą trójcę brahmańską — Brahma, Wisznu i Siwa — na tej samej płaszczyźnie, co i świętą trójcę żydowską — Jehowa, El i Sabaoth, lub świętą trójcę chrześcijańską — Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch

Święty — dla nas, powtarzam, uważanie wyrazu „bóg” za imię własne byłoby niczem nieusprawiedliwionym błędem logicznym i gramatycznym.

Na zakończenie zaznaczę jeszcze, że książka niniejsza nie stanowi bynajmniej skończonej całości. Przeciwnie, zwracam się do czytelników jej, zarówno przyjaciół jak i wrogów, z gorącą prośbą o nadsyłanie mi pod adresem Spółdzielni Wydawniczej „Bez Dogmatu” (Warszawa, ul. Królewska Nr. 16) swoich uwag i zapytań. W następnej książeczce, którą obecnie opracowuję, a która stanowić będzie jakby dalszy ciąg niniejszej, postaram się, w miarę sił moich, wyjaśnić szczegółowiej niezbyt może wyraźnie w niektórych miejscach określone moje stanowisko.

Tym przysłałym moim współpracownikom, zwolennikom i przeciwnikom myśli wolnej, zasyłam wolnomyślicielskie pozdrowienie.

Józef Landau.

ZBAWIENNY LEK.

Ludzie szczerze a naiwnie wierzący litują się nad nami, wolnomyślicielami, — jeśli są z przyrodzenia dobrzy, lub też myślą z przyjemnością o czekających nas w przyszłości męczarniach — jeśli z usposobienia są mściwi, — co się częściej zdarza. A w każdym razie są przekonani, że w głębi duszy każdy z nas jest strwożony i smutny, przepojony goryczą i niezadowoleniem.

Jestto zupełnie zrozumiałe: wierzą oni głęboko, że w życiu przyszłym ich udziałem będą niebiańskie rozkosze; wierzą, że to jest bezwzględna prawda, której my poważnie zaprzeczyć nie możemy; że naszym udziałem będą piekielne męki, o czym i my w skrytości ducha nie wąpimy. A że pomimo to w tej chwili sadzimy się na zgryźliwy humor i bluźnimy ich jedynej prawdzie, to czynimy to — podjudzani przez szatana, pragnąc w ten sposób zagłuszyć nurtującą nas trwogą.

Bo w głowie naiwnie a ślepo wierzącego człowieka nie może pomieścić się myśl, że ktoś naprawdę nie uznaje jego bezwzględnej prawdy, że ktoś naprawdę nie wierzy, by niebo lub piekło mogło być nagrodą lub karą za kroczenie w życiu tą lub inną ścieżką.

I dlatego wrzuszają ramionami i uśmiechają się z politowaniem, gdy wolnomyśliciel oświadcza, że właśnie on, jako taki, czuje się z zupełną słuszością szczęśliwszym i swobodniejszym od człowieka pobożnego, gdyż nie doznając trwogi, jaka jest nieodłączną towarzyszką każdej religji, ma o wiele więcej chwil swobod-

nych i spokojnych i wskutek tego daleko pełniej od-
czuwa radość życia.

Bo oto ta trwoga leży u podstaw religii i jest właściwie jej kamieniem węgielnym: miłość, nawet do boga, jest tylko wiarą człowieka, ale religii jeszcze nie stanowi; dopiero lęk przed bogiem, tak zwany, „zba-
wienny lęk“ — podnosi bezbarwną i bezprzedmiotową wiarę do godności wyznania kościelnego. Lęk jest za-
sadą kościoła.

Niema różnicy, co jest treścią owego lęku. Czy obawiamy się potępienia wiecznego, czy fatalnej trzynastki, czy grzechu pierworodnego, czy trefnej potrawy— to są już tylko odrębne formy, odmienne przejawy, tego samego jedyne go uczucia: lęku, który ścina nam krew w żyłach, i w każdym momencie życia narzuca nam wskazanie: tu grozi nieszczęście, nie czyn tego!

O ile więc pełniejsze jest życie człowieka, który lękowi się nie poddaje, a idzie spokojnie swoją drogą, przyglądając się badawczo a podejrzliwie strachom na wróble, jakie chytra pomysłowość jednych ludzi postawiła na drodze słabszym współbraciom.

Nie brak zresztą i pełnych humoru cieniowań w określaniu wartości tych drogowskazów: co w jednej religii jest grzechem, to w innej, pokrewnej, nazywa się przesądem lub zgoła cnotą; różni głosiciele niezmiennych prawd nietylko nie zgadzają się ze sobą w określeniach napięcia grzechu, lecz wytykają sobie wzajemnie fałszywe i błędne komentowanie wielkich wskazań wspólnych proroków.

PRAWDY I PRZESĄDY.

Dla ułatwienia sobie rozbioru tych przeciwieństw postawmy chwilowo wszystkie te groźne nakazy na jednej płaszczyźnie i powiedzmy, że dopóki nie wyłu-

skamy czystego ziarna z łupinek kodeksów kościelnych, wszelkie wierzenia są dla nas jednakowo ważne i jednakowo prawdziwe.

A więc nie dzielimy wierzeń na „prawdziwe“ i „fałszywe“, na „akty wiary“ i „zabobony“, uznając raczej, że dla człowieka wierzącego każdy zabobon jest aktem wiary, tak jak dla nas każdy akt wiary jest zabobonem. I z tego punktu widzenia ciężar życia sceptyka staje się nagle o całe niebo lżejszym od trosk życiowych religjanta.

Weźmy np. żydowski zakaz spożywania trefnych potraw. Jest on źródłem tysiącznych utrudnień życiowych, pociąga za sobą stratę wielkiej ilości czasu i energii, zużytych na przygotowanie koszernych potraw i nieustanne pilnowanie się, by pod tym względem nie zgrzeszyć i boga nie obrazić; już nawet nie wspominam o większych wydatkach na utrzymanie. Każdy więc nie-żyd, nie podzielający nienawiści Jehowy dla świni lub nie obawiający się kotletów smażonych na maśle, ma życie o wiele łatwiejsze, niż pobożny wyznawca kuchni rytualnej. Chrześcijanom Paweł apostoł w imieniu tego samego boga pozwolił jeść wszystko, co im smakuje, i tem niewątpliwie przyciągnął do swej gminy wielu ludzi rozsądnych.

Natomiast kościół chrześcijański otoczył swych wyznawców morderczą siecią szatańskich grzechów, jakie na nich czyhają z każdego kąta: zwolennik Jezusa rodzi się nieczystym, żyje w ciągłym grzechu i powinien właściwie przez całe życie myśleć nie o tem, jakby sobie urządzić najlepiej ten byt ziemski, lecz w jaki sposób uniknąć kary wiecznej po śmierci. Ta ciągła trwoga przed grzechem, którego uniknąć wcale nie można, oddaje wierzącego chrześcijanina na łup bezustannym wyrzutom sumienia, zmusza do nieskończonych obrachunków ze sobą samym, wreszcie rzuca go pod

nogi tym, którzy mają jakoby władzę odpuszczania grzechów na tym i na tamtym świecie. Niema chyba potrzeby dowodzenia, jakie ciężary nakłada to ciągle wężenie grzechu na życie bezwolnego człowieka, będącego igraszką nie tylko w rękach wszechmocnego boga, lecz i w rękach wszechmocnego kapłana.

Każdy więc nie-chrześcijanin, uznający, że każdy Adam ma przyrodzone prawo zapłodnić swoją Ewę i że grzechem byłoby przeciw przyrodzie, gdyby tego nie czynił, tem samem odtrąca pojęcie grzechu pierwotnego i wszystkie jego konsekwencje, a więc konieczność ciągłego oczyszczania się, ciągłej ekspiacji za cudze winy, ciągłego przekupywania boga za pośrednictwem jego kapłanów. A więc z tego względu życie manituisty będzie o wiele wolniejsze, pełniejsze, radośniejsze od życia chrześcijanina.

Nie mniejszy ciężar w życiu stanowią artykuły wiary, odnoszące się już nie do niektórych wyłącznych kościołów, a do pewnych okresów historycznych lub do pewnych środowisk umysłowych. Takimi kamieniami na drodze są naprzykład: wiara w fatalną trzynastkę, w feralne dni, w uroki, w nieczyste siły. A niech nikt nie sądzi, że te tak zwane „przesady“ nie mają nic wspólnego z religią, gdyż są bardzo pobożni żydzi, chrześcijanie czy mahometanie, którzy w nie nie wierzą.

Przecież dla chrześcijanina podział potraw na korszernie i trefne jest przesądem, zarówno jak dla żyda lub mahometanina jest przesądem zamiana chleba i wina w ciało i krew boga; mahometański wstręt do wina jest przesądem dla żydów i chrześcijan, a żydowsko - chrześcijańsko - mahometańska wiara w jednego boga jest śmiesznym przesądem dla politeistów, zaludniających swe pola, lasy i wody setkami potężnych bogów. A iluż znamy ludzi, uważających za bezpodstaw-

ne przesady wszelkie wskazania Biblii, Nowego Testamentu i Koranu, ale wierzących święcie, że przez próg witać się nie wolno lub że opal przynosi nieszczęście!

Dla nas więc nie istnieje różnica między artykułami jakiegobądź uznanego kościoła a przesadami: są to te same osobiste wierzenia, które bezsprzecznie mają wielki wpływ na bieg życia człowieka wierzącego.

Ale przesąd jest tylko tak długo więzieniem swobody myśli, dopóki człowiek nie dowie się, skąd to wierzenie się wzięło, w jaki sposób powstało, jakie ma cele, komu służy. Bo wszelki artykuł wiary trzyma się jedynie siłą swojej tajemniczości: tak jak dziecko boi się ciemności, w której może się potknąć i nosek sobie rozbić, tak człowiek dorosły, ale słabo myślący, lęka się tajemnicy, której nie rozumie, a pod którą czai się może jakieś niebezpieczeństwo. Rozdarcie zasłony, otaczającej owe tajemnicze „strachy“, jest zawsze czynem męskim, jest krokiem naprzód na drodze do osiągnięcia wolności ducha, jest aktem działalności wolnej myśli.

Nie sądzę, aby człowiek, któremu wytłumaczono historję trzech dni „Pokoju Pańskiego“ w średnich wiekach, piątku, soboty i niedzieli, w ciągu których zbrodnią było napadać i obdzierać podróżnych, z czego wynikało, że w poniedziałek wygłodzeni i wypoczęci ryccerze wyciągali na rozbój na drogach publicznych, nie sądzę, powiadam, aby ten człowiek jeszcze wierzył, że w poniedziałek nie należy rozpoczynać żadnej podróży a nawet żadnej pracy. Ostrożność, która była zupełnie usprawiedliwiona w owych czasach, a przechowała się w stanie szcątkowym pod postacią „feralnego poniedziałku“, staje się śmieszną a zbyteczną w naszych czasach, kiedy bandyci grasują na giełdach w ciągu całego tygodnia, a jeszcze w niedziele i święta mają swoją czarną giełdę.

Prawda, że nie każdy przesąd da się tak łatwo wyjaśnić i obalić, jak sprawa feralnego dnia, koszer-nych potraw lub odpuszczania grzechów, lecz każdy taki „akt wiary“, po spokojnem i logicznem oświeceniu go, traci dużo ze swej ostrości i bezwzględności. Człowiek wierzący zaczyna się zastanawiać, badać, porównywać i — co za tem idzie — wątpić. A zwątpienie jest pierwszym krokiem do zbawienia: bo zbawionym od lęku może być tylko ten, kto strząsnął z siebie wszelkie narzucone mu przesady, czy to religijne, czy społeczne, i zaczął dochodzić prawdy własną pracą i własną myślą.

Bo, jak pięknie powiedział Anatole France:

„Nie wątpi się bez racji, bez racji się tylko wierzy“.

KATECHIZM WYZNANIOWY.

Ciekawy i charakterystyczny jest układ każdego katechizmu wyznaniowego: jestto szereg pytań i odpowiedzi, skonstruowanych w ten sposób, że pytania zadaje ktoś, co doskonale z przedmiotem jest obeznany, a odpowiedzi daje ten, co właściwie jeszcze nic nie wie, a ma się dopiero nauczyć różnych prawd. Zdawałoby się wszakże logiczniejszem, aby pytania zadawał człowiek nieuświadomiony, pragnący czegoś się dowiedzieć, a odpowiadał człowiek więcej rozwinięty, mogący tamtemu sprawę odpowiednio wyjaśnić.

Ale układ katechizmowy ma swoje logiczne uzasadnienie: tu nie chodzi o to, aby dążąca do poznania prawdy jednostka badała ją mackami ostrożnej myśli; przeciwnie, tu się dąży do tego, by nieświadomemu nie pozwolić na badanie, a zgóry mu narzucić cały szereg prawd sztucznych a bezwzględnych, które już dlatego

choćby nie podlegają rozbiorowi, że dowieść ich niema sposobu. Musi więc prostaczek przyjąć bezkrytycznie to, co mu podają w postaci skończonej jego nauczyciele i zbawiciele; dlatego też katecheta zgóry narzuca uczącemu się odpowiedź na pytania, które mu sam zadaje; jestto ciągly, nieustanny egzamin, w którego wyniku ten, co bezmyślnie powtarza wtlaczone w jego słabą mózgownicę odpowiedzi — otrzymuje w nagrodę niebo po śmierci, ten zaś, co chciałby odpowiedzieć tak, jak rzeczywiście rozumie lub przeczuwa, albo też chciałby niezrozumiałe pytanie pominąć milczeniem, albo też postawić inne pytanie — staje się oczywistym grzesznikiem i po śmierci zostanie posłany za karę do piekła. Bo wszak trzecim grzechem przeciw duchowi świętemu jest — wedle rzymskiego katechizmu: sprzeciwianie się uznanej prawdzie.

Pisano też rozmaite inne katechizmy: społeczne, polityczne, nawet antireligijne. Konstrukcja ich jest zawsze jednakowa, z tą jedynie różnicą, że katecheta nie-wyznaniowy usiłuje w narzucanych przez siebie odpowiedziach przedstawić swoją prawdę subiektywną słowami bardziej naturalnemi, mniej tajemniczemi. Rezultat wszakże przeważnie bywa ten sam: bezmyślne powtarzanie sakramentalnych frazesów i wygranienie wolnej krytyki i wolnej myśli.

Możnaby więc wyprowadzić określenie, że każdy katechizm jest zbiorem twardych, nieustępliwych orzeczeń, pełnych wagi i znaczenia dla pytającego, który tą drogą chce szerzyć korzystne dla siebie poglądy i wierzenia, a pozbawionych wszelkiej wartości dla odpowiadającego, który ma zgóry wytyczoną drogę i w ten sposób zostaje pozbawiony możliwości samodzielnego rozumowania.

Jedyną logiczną drogą przekonywania i wyświeatlenia byłby taki katechizm, w którym nieznanący a po-

szukający stawiałby pytania w miarę jakby mu się nasuwały kwestje, których sam rozwiązać nie potrafi, odpowiadałby zaś bardziej uświadomiony, dążąc do tego, by swemu uczniowi dopomóc w odnalezieniu wątku myśli. Tylko że taki katechizm przestałby już być katechizmem, a stałby się propagandą wolnej myśli.

KATECHIZMOWE OKREŚLENIE WIARY.

Aby na przykładzie uzmysłwić sobie, do jakich wyników doprowadza katechizmowe ujęcie określeń, nawet zupełnie ogólnych, zajrzyjmy do któregoś z „krótkich katechizmów“ przeznaczonych dla dziatwy szkolnej. Ks. Józef Kruszyński każe dzieciom w ten sposób określać wiarę:

Pytanie: Co to jest wiara?

Odpowiedź: Wiara jest to nadprzyrodzony dar Boży, który nas tak usposabia, że wierzymy w to wszystko, co Pan Bóg objawił.

P.: Dlaczego musimy wierzyć w to, co P. Bóg objawił?

O.: Musimy wierzyć we wszystko, co Pan Bóg objawił, ponieważ Bóg jest prawdą i dlatego ani nikogo omylić, ani też sam omylonym być nie może.

P.: Skąd możesz poznać to, co Bóg objawił?

O.: To wszystko, co Bóg objawił, poznaję ze świadectwa i nauczania Kościoła Katolickiego, który w nauczaniu swem jest nieomylny.

P.: Kto dał Kościołowi Katolickiemu władzę nieomylnego nauczania?

O.: Pan Jezus dał Kościołowi Katolickiemu władzę nieomylnego nauczania, gdy powiedział do Apostołów: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody“.

P.: Co znaczy wierzyć?

O.: Wierzyć jest to uznawać za prawdę wszystko, co Pan Bóg dla naszego zbawienia objawił, i przez Kościół swój święty do wierzenia podaje.

P.: Czemu wierzymy we wszystko, co Pan Bóg objawił?

O.: Wierzymy we wszystko, co Pan Bóg objawił, bo Pan Bóg ani mylić się ani nikogo omylić nie może.

Po wyjaśnieniu w szeregu pytań i odpowiedzi, co to jest Stary Testament, Nowy Testament i tradycja, ks. biskup zadaje jeszcze pytanie: „W co więc powinien chrześcijanin wierzyć?” I każe odpowiedzieć: „Chrześcijanin powinien wierzyć w to, co Kościół Święty Katolicki do wierzenia podaje”.

Wyprowadźmy teraz wnioski z powyższych określeń: Bóg, który jest prawdą, objawił swoją wolę kościołowi katolickiemu (rzymsko-katolickiemu), którego nauka jest wskutek tego nieomylna. Nauka ta polega na podawaniu wierzeń, które obowiązują każdego chrześcijanina. A więc wiara — jestto poddanie się bezwzględne wskazaniom rzymsko-katolickiego kościoła. Uchylenie się, bodaj częściowe od spełniania nakazów rzymsko-katolickiego kościoła jest więc w konsekwencji wykroczeniem przeciw religii chrześcijańskiej, jest grzechem przeciwko duchowi świętemu.

Innemi słowy: Wiara jest uznaniem prawdy religii chrześcijańskiej w interpretacji wyznania rzymsko-katolickiego.

Jestto, jak widzimy, najniesłuszniejsze pomieszanie trzech pojęć — wiary, religii i wyznania, z których każde ma przecież ściśle określone znaczenie i nie może być logicznie utożsamiane z drugim pojęciem.

Ks. biskup Edward Likowski sprawę wiary ujmuje w następujące pytania i odpowiedzi:

WIARA, RELIGJA, WYZNANIE.

Gdybym teraz został zapytany przez niedość uświadomionego człowieka: a więc cóż to jest wiara? cóż to jest religja? cóż to jest wyznanie? — próbowałbym w następujący sposób objaśnić te wyrazy.

Każdy człowiek myślący posiada pewne zasady, jakie wyrobiło w nim jego życie wewnętrzne i zewnętrzne; te jego zasady, jego przekonania, oparte są zarówno na jego własnym logicznym rozumowaniu, jak i na odczuciu, częstokroć nawpół instynktownem. Właśnie to początkowo półświadome odczucie, poparte później i pogłębione przez logiczne rozumowanie, stanowi podstawę jego przekonań, jego zasad — i jest jego wiarą.

Wiara więc—jestto wewnętrzne przekonanie człowieka, zależne od stopnia jego rozwoju umysłowego.

W tem pojęciu wiara obejmuje całokształt poglądów jednostki, dotyczących się bądź życia realnego — przekonania społeczne, polityczne, bądź też oderwanego — przekonania filozoficzne. Wiara jest dostojeństwem człowieka i miarą jego duchowego rozwoju.

Jeśli pewien artykuł wiary, wspólny pewnej liczbie jednostek, zgrupuje je dokoła siebie, wyznaczając im wspólny cel, do którego winne w myśl swych przekonań dążyć, to wytworzony w ten sposób kult prawdy — ideału stanowi kamień węgielny religji.

Religja więc — jestto wspólny kult, łączący pewną grupę ludzi na podstawie jednej idei.

Gdy zaś podobna grupa ludzi zaczyna rozszerzać swoją liczebność i swoje wpływy, gdy, dla utrwalenia swego istnienia i nadania mu mocnych podstaw, poczyną wytwarzać organizację, opartą na niezłomnych prawach, którym musi podlegać każda jednostka, przagnąca do grupy należeć, wtedy powstają dogmaty wyznaniowe i nieodłączne od nich obrządki.

Wyznanie więc — jestto całokształt dogmatów, stanowiących o obrzędowości pewnej grupy religijnej.

Widzimy zatem, że droga od wiary przez religię do wyznania nie jest bynajmniej pogłębieniem idei — jest tylko jej gruntowaniem zewnętrznym, organizowaniem zdobywczem i jednocześnie z konieczności odbieganiem od pierwotnej zasady.

Weźmy dla przykładu rozwój idei chrześcijańskiej.

Początkowa idea chrystjanizmu polegała na wierze w posłannictwo Chrystusa, który głosił, że zakon, t. j. stary testament nie powinien być pojmowany literalnie; dogmatycznie, i że człowiek ma prawo i obowiązek samodzielnie roztrząsać Jego wskazania i usuwać te, które wydają mu się niezgodne z jego sumieniem. Stąd te ostre i krańcowe powiedzenia, jak: „błogosławieni ubodzy“, „nie sądz, abyś nie był sądzony“, „gdy cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy“, „człowiek jest ważniejszy od sabatu“ i t. d.

Poza temi wskazaniami, które zresztą nie naruszały zbyt mocno zasad wyznania żydowskiego, a dawały raczej odmienne zabarwienie ich pojmowaniu, oznajmił jeszcze Chrystus swym wiernym, że koniec świata jest namacalnie bliski*).

Ta wiara w posłannictwo Chrystusa, jako nauczyciela i pomazańca bożego, prowadziła konsekwentnie do przyjęcia jego wskazań i stosowania ich w życiu. Oto wiara Chrystusowa.

Pierwsza gmina, t. j. zbór zwolenników nauki Chrystusa, zgrupowanych dokoła pamięci jego osoby i głoszonych przez niego wskazań filozoficznych i społecznych, wytworzyła nowy kult, polegający na negacji starego porządku i dążeniu do osiągnięcia nowego celu:

*) Patrz rozdział: Rozwój dogmatów kościoła chrześcijańskiego.

oczyszczenia się z grzechów w oczekiwaniu rychłego końca świata. Oto religja chrześcijańska.

Gdy wszakże owo oczekiwanie zawiodło, luźno dotychczas związane między sobą grupy religijne chrześcijańskie poczęły się uspołecznić, to znaczy — organizować nie na krótki okres czasu, a na stałe. Do tego wszakże celu już sama idea Chrystusowa — wiara, ani nieokreślona a zawodna religja bliskiego końca — wystarczyć nie mogły. Żądne więc utrzymania spójności grupy, których członkowie — jak to zwykle w odczuciu ludzkim się jawi — uważali siebie za czystszych i wyższych od „niewtajemniczonego“ otoczenia żydów i pogan, poczęły wytwarzać legendy i wypływające z nich prawa, dogmaty i obrzędy. Im mniej zostawało czystej wiary, im mniej wyrazistą stawała się religja, tem więcej powstawało dogmatów i obrzędów. Bo tylko dogmaty i obrzędy mogły utrzymać w stanie skupienia społeczności, pozbawione pierwotnego kultu religijnego, pierwotnej wiary, która tak szybko dowiodła swej bezpodstawności. Oto są wyznania chrześcijańskie.

Zrozumiałem jest, że wiara — jako rzecz czysto osobista, indywidualna — może być tylko jedna dla każdej poszczególnej jednostki. Kultury, opierające się na tej indywidualnej wierze, już mogą się różniczkować. Wyznania zaś muszą się przeciwstawiać sobie wzajemnie, gdyż wynikają już nie z wiary, a z dogmatów, które powstają w zależności od środowiska i od poziomu umysłowego jednostek kierowniczych i kierowanych. A środowisk tych, nierównomiernych w swoim rozwoju, musi być dużo, coraz więcej, gdyż w przeciwnym razie religja nie mogłaby objąć wielkich grup ludzkich; a wtedy zostałyby tylko teorią filozoficzną, dostępną zaledwie drobnej grupce swych indywidualnych adherentów.

GRADACJA POJĘĆ SPOŁECZNYCH.

Nietylko wszakże w dziedzinie religijnej ma miejsce podobny rozwój pojęć w miarę ich uspołeczniania się: ten sam proces możemy zauważyć prawie we wszystkich dziedzinach pracy myśli ludzkiej, zarówno jak i we wszystkich prawie przejawach uczuć ludzkich, gdy od głębokiego zaczątku jednostkowego rozszerzają się w instytucje społeczne lub przynajmniej w pojęcia ogólnospołeczne.

Nie mogąc wdawać się w zbyt szczegółową analizę tego procesu w rozmaitych jego przejawach życiowych, ograniczę się jedynie do podania zestawienia tych stopniowań w kilku najwyraźniejszych i najjaskrawszych przykładach:

Wiara	Religia	Wyznanie
Chrystus	gmina chrześcijańska	kościół rzymsko-katolicki
Równość	socjalizm	państwo komunistyczne
Wolność	indywidualizm	anarchja
Miłość	wolny związek	małżeństwo nierozzerwalne

Już nawet powierzchowne badanie tych konsekwentnych stopniowań potwierdza wniosek, do którego doszliśmy już poprzednio, że rozszerzanie idei nie jest jej pogłębianiem; przeciwnie zaś — uspołecznianie idei musi z konieczności logicznej prowadzić do jej negacji. I rzeczywiście: wolny związek wynika z miłości, ale nie potęguje jej, lecz ją osłabia; socjalizm jest rozwojem pojęcia równości, lecz jej nie wprowadza w życie praktycznem; chrześcijaństwo opiera się na wierze w Chrystusa, lecz się z nią nie utożsamia i nie ogranicza się do niej.

A w dalszym rozwoju: niema miłości w małżeństwie nierozzerwalnem, i niema wolności w anarchji, tak jak w państwie komunistycznem niema równości, tak jak w kościele chrześcijańskim niema czystej idei Chrystusa.

Religja osłabiła wiarę, wyznanie ją zabiło.

A narzędziem, które w imię szerzenia wyznania zadaje cios śmiertelny prawdziwej wierze, jest—dogmat.

DOGMAT:

W toku naszych spokojnych rozważań doszliśmy do właściwego jądra rzeczy. Dotarliśmy do źródła, z którego wypływa ten cały strumień wierzeń, przeciwstawiających się jedynej wierze. Odnaleźliśmy ową pierwszą przyczynę, wywołującą wszystkie dalsze skutki. Jestto — dogmat.

Określenie dogmatu byłoby dla nas dość trudne, gdyby tego zadania nie podjął się już ktoś inny. A owym innym był jeden z najgłębszych filozofów chrystjanizmu, filar prawowiernego kościoła, kamień węgielny gmachu papieżstwa — słowem: święty Augustyn. Ten oto myśliciel, zastanawiając się nad znaczeniem nakazów religijnych i pragnąc, wzorem wszystkich syntetyków, ująć oderwane pojęcie w pewien stały a mocny system, wynalazł formułkę, która jędrnie a prosto tłumaczy całą treść dogmatu.

„Credo quia absurdum est“ rzekł święty Augustyn.
„Wierzę, albowiem to jest absurd“.*)

*) Maksyma ta, używana często przez wielu ojców kościoła, opiera się przypuszczeniu na tekście starszym od dzieł św. Augustyna, który zmarł w roku 430; mianowicie jako źródło jej podają następujący ustęp z dzieła Tertuliana (ur. w r. 160, zmarł w r. 239). „De carne Christi V“.

„Umarł syn Boga, jestto zupełnie wiarogodne, ponieważ to jest nielogiczne (ineptum). A pochowany — zmartwychwstał: jestto pewne, ponieważ to jest niemożliwe“.

Rozwijając myśl Tertuliana, następcy jego, a wśród nich i św. Augustyn, ustanowili wskazanie, a właściwie wyznanie wiary: „credo quia absurdum est“ — wierzę albowiem to jest niedorzeczne.

To znaczy: prawd ludzkich, zwykłych, można dowodzić logicznie, można co do nich być tego lub innego zdania, można się z nimi zgodzić lub nie zgodzić. Jeśli jednak stajemy wobec twierdzenia nielogicznego, nie poddającego się badaniu naszego ludzkiego umysłu, nie wypływającego z naszych codziennych pojęć o życiu i o przyrodzie, słowem — wobec tak zwanego absurdu, niedorzeczności — wtedy nie pozostaje nam nic innego, jak uwierzyć — na ślepo.

Powiedzenie to jest twarde i ścisłe, jak granit. Gdyby Augustyn orzekł: wierzę, **chociaż** to jest niedorzeczne, złożyłby tylko swoje osobiste wyznanie wiary, które mogłoby wzruszać swoją naiwną pokorą, ale nie byłoby przesłanką dla cudzych wniosków. Znaczyłoby to, że Augustyn sam, pomimo bijącej w oczy niedorzeczności pewnych twierdzeń, nie zdobywa się na odpowiednią siłę, aby zaprotestować przeciwko nim, a woli przyjąć je w pokorze ducha, jako pochodzące od ludzi, którym wierzy więcej nawet, niż samemu sobie. Na to kto inny, równie nawet bogobożny, ale mniej pokorny, mógłby odpowiedzieć: a ja również gotów jestem uwierzyć, ale niedorzeczność twierdzenia odstrasza mnie; nie mam, coprawda, głębi wiary świętego Augustyna, niemniej jednak nie przestaję być wierzącym chrześcijaninem, żydem, mahometaninem czy buddystą, z zastrzeżeniem jedynie prawa wątplenia, o ile chodzi o sprawy niedorzeczne.

Postawienie jednak kwestji przez Augustyna całą sprawę załatwia gruntownie i bezapelacyjnie: wierzyć należy nie — **chociaż** to jest niedorzeczne, lecz **właśnie dlatego że** to jest niedorzeczne. Innymi słowy: jeśli chcesz mianować się prawowiernym wierzącym, to jesteś obowiązany przestać się liczyć z wszelką logiką, odrzucić wszelkie próby zrozumienia, nie masz nawet prawa dochodzić myśla, czy jakakolwiek podawana ci

prawda ma wogóle uzasadnienie; przeciwnie, jeśli jakieś twierdzenie wydaje ci się absurdalne, niedorzeczne, to właśnie dlatego powinieneś uznać jego świętość i powiedzieć: nie rozumiem tego — a więc wierzę, że to jest prawda.

Oto jest najprawdziwsze, najmocniejsze, najtwardsze określenie dogmatu, przyjęte przez wszystkie kościoły na świecie, nawet przez te, które o świętym Augustynie nigdy nie słyszały, nawet przez te, które go znają, ale nie uznają. Dowodzi to, że Augustyn nie wynalazł swego wielkiego określenia, a tylko skonkretyzował je, nadał formę starej, przez wszystkie kościoły po wsze czasy hodowanej idei, że wyznanie stoi poza logiką, właściwie — ponad logiką, i opierać się może tylko na prawdach absurdalnych.

W ostatecznym więc rezultacie otrzymamy następujące określenie:

Dogmat jestto twierdzenie, nie opierające się na żadnych przesłankach logicznych, a dążące drogą nakazu do ustalenia pojęcia, którego dowieść nie podobna.

DOGMAT A AKSJOMAT.

Określenie powyższe należy wziąć bardzo ściśle jeszcze i z tego powodu, że obrońcy dogmatycznego pojmowania życia częstokroć powołują się na niby analogiczne prawdy, jakie matematyka przyjęła jako podstawy rozumowania i wnioskowania, a więc na tak zwane pewniki, czyli aksjomaty matematyczne. Mówią więc tak: cała geometria opiera się na twierdzeniu, że prosta jest najkrótszą odległością między dwoma punktami; ale twierdzenia tego dowieść nie można: musimy więc przyjąć je „na wiarę“, czyli uznajemy dogmat matematyczny, bez którego cała nauka byłaby nie do po-

myślenia; jeśli zatem nawet wiedza ludzka nie może się obejść bez dogmatów, to jakim prawem umysł, przyznający konieczność jednego dogmatu, zaprzecza racji bytu innemu dogmatowi, na przykład nieomylności papieża.

Analogja jest tu z gruntu fałszywa: przypomnijmy sobie, ile to już było „pewników naukowych“, które rozwiewały się, jak mgła poranna, pod naciskiem badawczej myśli ludzkiej. Takim pewnikiem było słynne określenie: przyroda nie znosi próżni, które obalił z taką łatwością Torricelli, dowiódłszy, że przyroda pysznie znosi próżnię, o ile tylko potrafi się ją stworzyć. Ale obalenie tego pewnika bynajmniej nie wstrząsnęło podstawami fizyki, przeciwnie — zbudowało stołkoć silniejsze jej fundamenty. I każde nowe odkrycie, burzące dotychczasowe pewniki naukowe, staje się zawsze krokiem naprzód na drodze rozwoju wiedzy, i nikomu nawet na myśl nie przyjdzie nazywać odkrywcę odstępcą lub zdrajcą nauki; spotka się najwyżej ze sceptycyzmem, który musi zwalczać dostatecznymi dowodami.

Prócz tego należy zwrócić uwagę, że im bardziej rozwija się nauka, tem mniej zostaje nie dowiedzionych „pewników“ czyli że wiedza **nie opiera się** na aksjomatach, ale **przyjmuje je** tylko jako zło konieczne, dopóki ktoś nie zdoła danego zjawiska logicznie wytłumaczyć. Nawet owe niewzruszone pewniki matematyczne o linii prostej, opierające się na „widoczności“ i niemożności zrozumienia trójwymiarowego świata w inny sposób przez trójwymiarowych ludzi, zostały odmiennie a ciekawie oświetlone przez nie-Euklidesową geometrję — bez żadnego uszczerbku dla godności nauki i jej powagi.

A teraz niektórzy uczeni nawet twierdzą, że linja prosta wogóle we wszechświecie nie istnieje, a nauka ich za to nie wyklęła, jako heretyków.

Jakże odmiennie wyglądają pewniki wyznaniowe! Nie dlatego jest dogmat pewnikiem, że go trójwymiarowy człowiek inaczej zrozumieć nie potrafi, a właśnie dlatego, że dla wyjaśnienia go trzebaby wprowadzić pojęcie zgoła odmiennego wymiaru. Nasza naprzykład trójwymiarowa logika stwierdza, że żadne ciało, żadna istota, nie może jednocześnie znajdować się w kilku miejscach, tymczasem dogmat o wszechobecności boga twierdzi wręcz przeciwnie, co dałoby się objaśnić chyba przez dodanie bogu jeszcze kilku wymiarów. Nie twierdzą, iżby to miało być niemożliwe, ale przypuszczam, że istnienie pięciowymiarowego boga może być dość obojętne dla przeciętnych trójwymiarowych istot ludzkich.

Taksamo, jak to Heine dowcipnie powiedział, dogmat o świętej Trójcy nie może się zgodzić z pewnikiem arytmetycznym, że $3 \times 1 = 3$. Tego ostatniego nie możemy coprawda dowieść, ale nie możemy też zrozumieć, aby mogło być inaczej; tymczasem pierwszego również nie możemy dowieść, ale też nie możemy zrozumieć, aby to było możliwe.

Niemniej ciekawy jest dogmat wszechmocy boga w interpretacji kościoła powszechnego: mówi się, że bóg stworzył świat **z niczego**; jeśli więc nauka materialistyczna oświadcza, że „z niczego nic nie powstanie“, kościół odpowiada jej: ta zasada jest słuszna w stosunku do całego świata, ale właśnie niesłuszna w stosunku do wszechmocnego boga, który — jako wszechmocny, potrafi nawet z niczego coś stworzyć. Niemniej wszakże, zastrzegając się widocznie przeciwko wciąganiu wszechmocy boskiej w zasadzkę logiki, kościół tłumaczy, że bóg, przy całej swojej wszechmocy, nie może jednak tego zrobić, co jest samo w sobie niedorzeczne i niemożliwe, np. nie może kwadratu zrobić kołem. (Ks. dr. M. Siemiątycki: Dogmatyka Katolicka).

Jestto już niezwykłą tajemnicą kościoła katolic-

kiego, dlaczego kwadratura koła jest bardziej niemożliwa dla boga, niż stworzenie czegoś z niczego, lub jednoczesna obecność w dwóch miejscach.

Powiedziałem przed chwilą, że im bardziej rozwija się nauka, tem mniej zostaje niemożliwych do dowiedzenia pewników — jestto dążenie do monizmu. Natomiast im bardziej się rozwija religja, stająca się wyznaniem, tem więcej zjawia się dogmatów.

Weźmy dla przykładu wyznanie rzymsko-katolickie.

ROZWÓJ DOGMATÓW KOŚCIOŁA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO.

Jak już mówiliśmy wyżej, początkowe gminy chrześcijańskie nie miały żadnych dogmatów, poza — naturalnie — wiarą w jedyne boga i w posłannictwo Jezusa, jako proroka bożego, który przyszedł, aby oznajmić ludziom zbliżający się koniec świata. W imię tego namacalnego blizkiego końca świata pierwsi chrześcijanie grupowali się w tajemne związki „świętych”, którzy, oczyszczając się z grzechów, zapewniali sobie w ten sposób zbawienie wobec nieuchronnej klęski pozostałej reszty „niewtajemniczonych”.

Gdy wszakże mijały lata, a końca świata jakoś nie było widać, kapłani gmin chrześcijańskich poczęli szukać tłumaczenia tego, bądź co bądź przykrego, faktu niespełnienia się przepowiedni mistrza. Zrozumiałem jest zupełnie, że tłumaczenie takie może być tylko dwójakie: albo należy się przyznać, że mistrz się pomylił, albo też dowieść, że został źle rozumiany i że słowa jego miały inne znaczenie.

Pierwsze pociągnęłoby za sobą natychmiastowe rozwiązanie gmin, co byłoby równoznaczne z utratą przez kapłanów swego stanowiska kierowniczego; nie

mogło być o tem mowy. Pozostało więc drugie: przeprowadzenie komentarzy, usprawiedliwiających poczynione błędy przez zrzucenie odpowiedzialności na pierwszych komentatorów, którzy źle zrozumieli słowa mistrza.

Zadanie było nie łatwe, gdyż ewangeliści przytaczali dosłowne zapowiedzi Jezusa, iż nie przeminie ten rodzaj, t. j. to pokolenie, a nastąpi koniec świata. Nie jest naszym zadaniem śledzenie, jakimi subtelnymi wywodami objaśniali pierwsi biskupi odroczenie tej katastrofy; przypuszczamy zresztą, że ludzie chętnie przyjmowali komentarze, które zapewniały im spokojniejsze życie, bez grozy natychmiastowego potępienia i męki wieczystej. Ważnym natomiast momentem jest dla nas skutek dalszy pierwszych komentarzy.

Tylko pierwszy krok jest trudny: pierwsze słowo, wyjaśniające czystą naukę Jezusa, było też pierwszą podstawą religii chrześcijańskiej i pomostem, prowadzącym do niej od pierwotnej wiary. A dalej już droga prosta: idziemy do wyznania przez szereg dogmatów, które muszą zastąpić zerwaną więź pierwotną — wiarę w dotykalny koniec świata.

Nie możemy tutaj zajmować się historją powstania poszczególnych dogmatów, gdyż wymagałoby to zbyt wiele czasu i miejsca, przypomnijmy sobie tylko, jakie główne dogmaty obowiązują obecnie w kościele rzymsko-katolickim, a więc:

Boskość Chrystusa, święta Trójca, grzech pierworodny, transsubstancjacja, niepokalane poczęcie, odpuszczenie grzechów, nieomylność papieża i t. d. i t. d.

Widzimy, że nielada aparatu trzeba było, aby utrzymać spoistość grożącej rozpadnięciem się społeczności chrześcijańskiej.

Ale podobne dogmaty znajdujemy nietylko w życiu religijnem, są one również święte w życiu społecznem. Jestto bodaj najlepszym dowodem, że prawa religijne

wynikały z konieczności warunków życia społecznego, a tam, gdzie jakiś prorok wysnuwał z siebie prawo moralne, niezgodne z chwilowymi wymogami współżycia, prawo to zawsze zostawało tylko papierowym nakazem, łamanym co chwila i wywołującym jedynie obłudne komentarze, które usiłowały godzić konieczności życiowe z oderwaną moralnością.

PRAWO WŁASNOŚCI.

Weźmy np. jeden z najbardziej podstawowych dogmatów: prawo własności. Znajdziemy go we wszystkich kodeksach społecznych, zarówno jak we wszystkich kodeksach religijnych; „nie kradnij“ „nie cudzołóż,“ „nie pożądaj rzeczy bliźniego twego“, — te nakazy znane wszystkim pierwotnym ludziom na dziesiątki tysięcy lat przed erą Mojżesza i Jehowy, stanowią pierwszy kodeks społeczny, pierwszą więź, zaprowadzającą pewne unormowanie współżycia pierwotnej gminy ludzkiej, przy czem „bliźni“ — to tylko członek tej samej gminy, i nakazy bynajmniej nie obowiązują w stosunku do członków obcych gmin. To społeczne pojęcie prawa własności staje się z biegiem czasu dogmatem religijnym „objawionym“, a prawie we wszystkich religjach początkowe pojęcie „bliźniego“ zostawia swój ślad w prawodawstwie, jak to widzimy chociażby w biblii, gdzie się pochwała niejednokrotnie kradzież, lichwę i rozbój w stosunku do „obcych“. A zresztą, czyż i dzisiaj, w czasach niezmiernie już niby uduchowionego chrześcijaństwa z całym jego aparatem świętych objawień i niewzruszonych prawd moralnych, nie uważamy „zdobyczy wojennej“ za zupełnie uprawniony zysk? Nawet w stosunku do chrześcijan tego samego wyznania, lecz należących do odmiennych ugrupowań narodowych lub pań-

stwowych! A cóż dopiero konfiskaty dóbr heretyków przez kościół rzymski paręset lat temu!

A usiłowanie pogodzenia bezwzględneho nakazu moralności „objawionej“ z nakazem życia, domagającego się żeru nad słabszymi grupami społecznymi — wywołuje tysiączne wyjaśnienia, tłumaczenia, komentarze, zmusza ludzi do wykrętności, do obłudy, do fałszu, zatruwa nabyte przez tysiącolecia kultury społecznej poczucie honoru i prawdy, słowem — deprawuje ludzkość i paczy jej najlepsze instynkty. Jestem głęboko przekonany, że pojęcie „zmiennej umowy społecznej“, regulującej co pewien okres czasu prawo „walki o byt“, wprowadziłoby daleko więcej moralności do życia ludzkiego, niż owe „prawdy objawione“, skamieniałe w swej doskonałości i śmiesznie bezsilne wobec życia, które nie znosi żadnej bezwzględności, ani żadnych wiecznych prawd.

Biblia określa niezmiernie surowo prawo własności, odnosząc jego początek bezpośrednio do Jehowy: niema tu żadnych ustępstw, żadnych niejasności; własnością każdego wyznawcy biblijnego boga jest jego kawał ziemi, jego dom, jego żona, jego dzieci, jego niewolnicy, jego bydło i t. d. Ta wszystka własność oddana mu jest w niepodzielne władanie, za ledwie dziesięcina od zbiorów oraz rozmaite wykupy za pierworodnych i ofiary wymówili sobie kapłani i lewici. Po zaspokojeniu w ten sposób niemałych zresztą apetytów przedstawicieli Jehowy na ziemi, reszta już należy bezwzględnie do głowy rodziny.

Tak bezwzględnie, że jeśli nawet sprzeda ziemię swoją lub zaprzeda się sam w niewolę, to w roku jubileuszowym odzyskuje swoją własność i wolność, bo jedynym prawnym dawcą jest sam bóg. Tak bezwzględnie, że może za skromnem odszkodowaniem odpędzić od siebie żonę, która utraciła łaskę w jego oczach, lub

zamordować swoje dziecko, jeśli mu nie okazuje dość szacunku.

Chryścjanizm pierwotny, który w wielu wypadkach wyrzeka się swego źródła, występował początkowo bardzo silnie przeciw osobistemu prawu własności; ideałem Jezusa było wyzbycie się wszelkich dóbr jednostkowych na korzyść gminy wtajemniczonych; dla posiadaczy czuł niezmierną pogardę; radził majątek cały rozdać potrzebującym; bogatych wogóle nie dopuszczał do siebie i odmawiał im nawet obietnicy wejścia do królestwa bożego; oszczędność nawet uważał za wadę, a ideałem był mu ptak niebieski, co to nie sieje i nie orze, a żyje z łaski bożej.

Zupełnie jest zrozumiałe, że podobna nauka w całej swej pełni ostać się nie mogła. Jakaś gromadka ascetów czy świętych mogła była żyć kosztem otoczenia, żywiąc się jałmużną, lecz niepodobna wymagać, aby całe społeczeństwo przestało orać i siać, licząc na to, że żywność i ubranie z nieba im spadnie w stanie gotowym do użytku. Można zachwycać się idealizmem Chrystusa, lecz żaden człowiek rozsądny nie będzie próbował wcielać w życie jego ideałów.

Było to tak jasne, że zaraz pierwsze gminy ustaliły napowrót prawo własności, a żaden z apostołów przeciwko niemu nie powstawał. Ojcowie kościoła już wręcz przeczyli, jakoby mistrz nie uznawał prywatnej własności, a z zupełnie wyraźnego powiedzenia Chrystusa: „oddaj Cezarowi, co Cezara“, którym prorok wyraził całą pogardę swoją dla dóbr doczesnych, wykrętni komentatorowie wyprowadzili niesłychanie śmiały wniosek, że Chrystus nakazał płacić podatki władzy świeckiej.

Biblijne prawo własności powstało z popiołów w całej swej sile, jako prawo przyrodzone, święte, objawione zgóry, boskie.

I kościoły przez długie, długie stulecia dawały

boską sankcję ludzkiej chciwości i nieludzkiemu wyzyskowi. Pojęcie prawne, społeczne, wynikłe z konieczności życiowych, normujących stosunki grup ludzkich na słabym jeszcze stopniu rozwoju, stało się — dzięki tym kościelno-boskim sankcjom — dogmatem stałym, niezmiennym, wbrew wiecznemu prawu zmienności, przystosowania się kodeksów społecznych do zmieniających się warunków życia. I gdy wyswabdzająca się z ciasnych powijaków średniowiecza myśl ludzka poczęła szukać ujścia dla odrodzeńczych teńnień, znalazła na progu nowego świata idej olbrzymią ciemną zaporę—kościół. Wtedy ci ludzie, którzy wystrzelili głowami wysoko ponad szary tłum, zrozumieli, że walka z dogmatem wogóle, a w pierwszej linii z dogmatem kościelnym, jest pierwszym krokiem do wolności. To były narodziny wolnomyślicielstwa.

WYŁOMY W DOGMATACH.

Wyniki tej walki są już dziś zupełnie jasne i widoczne. Nie mówię w tej chwili o zdobyczach świadomej myśli wolnej, która się zupełnie oswobodziła od pęt kościelnych; mówię o tych wyłomach, jakie życie nowoczesne poczyniło w „niewzruszonych“ dogmatach religijnych, wyłomach, które naocznie świadczą o kruchości prawd „objawionych“ wobec wymogów rozwijającego się życia społecznego, nawet wtedy, gdy to społeczeństwo święcie jeszcze jest przekonane o swojej religijności.

Co się stało ze świętem prawem własności? Państwo nowoczesne nie waha się nakładać na obywateli ciężkich podatków, pozbawiając ich dużej części majątku, wywłaszcza ich z ziemi, która jest potrzebna dla przeprowadzenia szos; dróg żelaznych lub wodnych,

ściąga gruby haracz przy dziedziczeniu w linii bocznej, odbiera przemocą ziemię tym, którzy jej posiadają za dużo, by oddać ją tym, którzy jej posiadają za mało, sięga nawet po majątki kościelne, a więc stanowiące własność samego boga. I to wszystko dzieje się nie w jakiejś tam zrewolucjonizowanej bezbożnej Rosji, a w krajach o wybitnie wyznaniowej kulturze, częściowo nawet w doskonale katolickiej Polsce!

Gdzie się podziało biblijne święte prawo władzy rodzicielskiej? Dziś państwo wkracza między ojca i syna, sądzi własnym sądem nieporozumienia między nimi, karze ojca, który nadużywa swojej władzy nad dzieckiem, nie pozwala nawet wydziedziczyć dziecka. Majątek głowy domu przestał być jego bezwzględna własnością. Dziesiąte przykazanie boskie nie obowiązuje państwa, ono żąda, wbrew Jehowie, i domu twego, i osła twego, i wołu twego; i nietylko żąda, ale gwałtem zabiera, jeśli podatków, nałożonych na ciebie, w porę nie zapłacisz. I zabiera synów twoich i posyła ich na śmierć, gdy mu to jest potrzebne.

A czyni to wszystko z imieniem Jehowy i syna jego, Jezusa, na ustach, opierając się na uchwałach zgromadzeń prawodawczych, w których zasiadają również pełnomocnicy Jehowy i Chrystusa.

Nie ulega wątpliwości, że dogmaty kruszeją w prądzie życia, i tylko nieskończona obłuda kapłanów w połączeniu z niewymowną naiwnością ich zwolenników mogą uporczywie twierdzić, że jeszcze istnieją jakieś niezmiennie prawdy objawione, jakieś niewzruszone dogmaty religijne.

INERCJA.

Czemuż jednak przypisać taki stan rzeczy? Wszak nie można powiedzieć, że cała masa obywateli jakiego-

bądź państwa, zdając sobie jasno sprawę z niemożliwości zastosowania w życiu nakazów religijnych i przecząc temsamem ich boskiemu pochodzeniu, jest jednak na tyle obłudna lub głupia, że w dalszym ciągu podtrzymuje świętości kościołów wszelkich wyznań, pozwalając ich kapłanom żyć ich kosztem. I czemu czynią to nawet ci, którzy zdali już sobie wyraźnie sprawę z przyczyn powstawania i utrzymywania się kościołów, i stosunek swój osobisty do nich określili ujemnie?

Tu wchodzi widocznie w grę jakiś inny czynnik wielkiej wagi i siły, którego zbadanie staje się rzeczą nieodzowną.

* * *

Przypomina mi się anegdotka, którą kiedyś mi opowiadano: Pewnego razu z głębokiej prowincji przyjechało do Paryża na studia pięciu ubogich młodzieńców. Ukończyli oni jednocześnie szkołę średnią w jednym z mniejszych miast południowej Francji, składali wspólnie egzaminy, i bogaci w chęci i zapał, ale bardzo skromnie uposażeni w mamonę, znaleźli się razem na bruku paryskim. Dla oszczędności wynajęli wspólnie pokoik na piątym piętrze wielkiej kamienicy w Dzielnicy Łacińskiej, tak zwaną tabakierkę, z oknem w dachu.

Ponieważ pokoik był zbyt mały, by pięć łóżek mogło w nim stanąć obok siebie, zakupili więc dwa materace, które na noc rozkładali na ziemi, i przytuleni do siebie smacznie spali pod jednym szerokim kocem. Wkrótce wszakże przekonali się, że i podłoże i przykrycie starczą dla wszystkich tylko o tyle, o ile wszyscy spoczywają na jednym boku; gdy jednak choćby jeden z nich próbował wśród nocy odwrócić się na drugi bok, wprowadzał zamieszanie w całym układzie, wskutek czego dwaj koledzy z dwóch końców bywali zrzucani na podłogę i pozbawiani przykrycia, co wywo-

ływało głośne ich protesty i budzenie ze snu całej piątki.

Wtedy jednemu z nich przyszła do głowy myśl wprowadzenia pewnej organizacji systemu spania. Zaproponował mianowicie kolegom, aby wszyscy układali się wieczorem równo na prawym boku, a kto pierwszy w nocy się zbudzi, czując potrzebę odwrócenia się na drugi bok, ten gwizdnie silnie, a na to hasło wszyscy jednocześnie wykonają obrót na lewo, wskutek czego równowaga materaców i koca zostanie utrzymana.

Propozycja została jednogłośnie przyjęta i odtąd zgoda i spokój zapanowały w tabakierce. Koledzy przyzwyczaili się do spokojnego leżenia na prawym boku aż do chwili, gdy się rozlegał gwizd, poczem odwracali się miarowo na lewy bok. W ten sposób przeżyli zgodnie kilka lat studjów uniwersyteckich.

Upłynęło od owego czasu około 20 lat. Młodzieńcy stali się ludźmi dojrzałymi, poczęli zarabkować, pożenili się wreszcie i naturalnie zapomnieli zupełnie o czasach studenckich i wspólnem spaniu w piątkę na dwóch materacach.

Zdarzyło się, że jeden z owej piątki, zdolny i znany już inżynier, został w pewnej sprawie, połączonej z jego zawodem, wezwany do New-Yorku. Znalazłszy się w wielkiem mieście, gdzie nie miał dotąd znajomych, udał się do prywatnego hotelu, t. z. boarding house'u, położonego przy jednej z wielkich „avenue“—alei, przecinających wzdłuż całe miasto i otrzymał pokój frontowy na pierwszym piętrze. Przez ulicę tę przebiegał „elevator“ t. j. napowietrzna kolej elektryczna, pędząca po torze, ułożonym na wysokich słupach; dodać trzeba, że kolej ta jest w ruchu przez całą dobę bez przerwy.

Przypadek chciał, że o trzeciej nad ranem, gdy nasz inżynier, zmęczony podróżą, pogrążony był w głębokim śnie, przebiegał właśnie pociąg na wysokości

okna jego pokoju, i maszynista, zauważywszy jakąś niedokładność w sygnałach dalekiej jeszcze stacji, dał przerażliwy świstek.

I cóż się stało? Nasz inżynier momentalnie odwrócił się na lewy bok!

* * *

Otóż to jest owa siła, o której mówiliśmy wyżej zowie się ona przyzwyczajeniem. Od najmłodszych lat wpaja nam się w mózgi, że bóg jest wszechmocny, a kapłan — święty, od pierwszej chwili naszego życia ciąży nad nami to przeświadczenie, że bez chrztu lub obrzezania pójdziemy do piekła, że bez księdza czy rabina ślub jest nieważny, że leżenie w niepoświęconej ziemi lub z nieprzemaglowanemi wnętrzościami jest hańbą i t. d. I chociaż w późniejszych latach rozum nas uczy, że te wszystkie ceremonje są czcym wymysłem ludzkim, nawet nie mającym nic wspólnego z czystą wiarą, że przyroda kpi sobie z poświęcania małżeństw czy śmierci, że dzieci rodzą się takie same bez względu na to, czy ich rodziców upoważnił kto do aktu, czy nie, że trupy gniją w ziemi zupełnie jednakowo, bez względu na to, czy tę ziemię ktoś poświęcił, czy też nie, — to jednak w odpowiedniej chwili kryjące się gdzieś w zakamarkach naszego mózgu wierzenia naraz odżywają, i niechno tylko ksiądz gwizdnie—my w te pędy lecimy do kościoła.

To przyzwyczajenie do pewnych ruchów, czy do pewnych myśli, jest tak silne, że najczęściej wywołuje bezwład mózgu, inercję, skutkiem której postępujemy przeważnie nie tak, jakby nam podyktował rozum po odpowiedniej rozwadze, lecz odruchowo, bez zastanowienia się, bezmyślnie. Tak np. bezmyślnie daje żyd obrzezać lub chrześcijanin chrzcic swoje dziecko, tak odruchowo zdejmujemy kapelusz przed kościołem lub pogrzebem, tak odruchowo zgina kolana' muzułmanin, gdy usłyszy głos muezzina, wzywającego Allaha, lub

chrześcijanin — gdy usłyszy dzwonek przy podniesieniu podczas mszy, lub żyd — gdy w „Sądny dzień“ usłyszy wołanie „kantora“ — ukorzymy się przed Panem.

Kapłani doskonale rozumieją siłę tego przyzwyczajenia i dlatego rozpoczynają wpajanie tych nauk w owieczki swoje od najmłodszych lat, aby te wszystkie nienaturalne i nielogiczne czyny i ruchy stały się z biegiem lat odruchami, instynktem. Toteż dążeniem wszystkich klerów jest przede wszystkim opanowanie szkoły, gdzie rozciągają swoją opiekę nad dziećmi w tym jeszcze wieku, gdy słabe ich umysły nie umieją się narzucanym im formułkom przeciwstawić. I z tego samego też powodu pierwszym żądaniem wolnomyślicieli jest szkoła świecka, t. j. taka szkoła, do której żaden kapłan nie byłby dopuszczony w żadnym charakterze, aby umysłowi dziecka pozostawić możliwość samodzielnego rozwoju.

Boć wolnomyślicielstwo nie jest niczem innym, jak metodą swobodnego myślenia, dążeniem do wyzwolenia siebie i innych z powiżaków narzucanych prawd wszelakiego rodzaju i wreszcie — przeciwstawieniem swej własnej logiki i rozumowania wszelkim uroszczeniom cudzych prawd objawionych.

Wolnomyśliciel sam dochodzi swej prawdy i nie uznaje żadnego dogmatu.

GRZECH PIERWORODNY.

Mówiliśmy poprzednio, że życie nowoczesne poczyniło liczne a poważne wyłomy w rozmaitych dogmatach religijnych i społecznych. Musimy jeszcze zwrócić uwagę na wielkie różnice, jakie zachodzą w uznawaniu różnych dogmatów przez rozmaite sekty chrześcijańskie; nie wszystkie bowiem dogmaty, jakkolwiek każdy z nich jest bezwarunkowo dla swych zwolenników święty i niezłomny i bezwarunkowo pochodzi od samego boga, obo-

wiążują wszelkich sekciarzy, pomimo iż wszystkie sekty powołują się na objawienie od tegoż samego świętego ducha.

Tak np. dogmat o nieomyślności papieskiej obowiązuje jedynie rzymskich katolików, a odrzucający jest przez staro-katolików, prawosławnych i wszystkich protestantów. Ubóstwianie Marji, jako matki boskiej, obowiązuje rzymskich katolików, staro-katolików, prawosławnych, a odrzucające jest przez ewangelików i kalwinistów. Transsubstancjację wyznają katolicy, prawosławni i luteranie, a odrzucają kalwiniści. Cały szereg najważniejszych i najbardziej podstawowych obrzędów, sakramentów, odmienny jest dla rozmaitych sekt: komunja w jednej, czy w dwóch postaciach, sposób chrztu, liturgika, hierarchja — wszystko to jest różniczkowane albo i wręcz odmienne w kilku dziesiątkach sekt chrześcijańskich, jakie się z biegiem lat wytworzyły w Europie i w Ameryce.

Jest wszakże jeden dogmat, który ostał się wszelkim przewrotom wewnętrznym i zewnętrznym, wszelkim próbom wyjaśnienia „prawdziwego“ znaczenia słów boskich, wszelkim nawrotom do „jedyniej“ ewangelji: jestto dogmat o grzechu „pierworodnym“. Dogmatu tego nie złamało i nie naruszyło.

Rozbiór tego granitowego dogmatu, który mógłbym śmiało nazwać „jedynym dogmatem ogólnochrześcijańskim“, jest więc dla każdego badacza niezmiernie ważny i niewątpliwie rzuci ciekawe światło na metody i cele tworzenia dogmatów religijnych.

PODANIE BIBLIJNE.

Historja biblijna o grzechu pierworodnym, na której opiera się ów „jedyny“ dogmat, brzmi w wólnym przekładzie, jak następuje: (pg. I Mojż. III).

Po stworzeniu pierwszej pary ludzi, Adama i Ewy, osadził ich Jehowa w raju, t. j. w ogrodzie, i pozwolił im żywić się wszelkimi owocami, rosnącymi tamże. Pośrodku raju rośło „drzewo poznania”, a spożywania jego owoców Jehowa wzbronił Adamowi i Ewie, którzy wtedy byli zupełnie niewinni, to znaczy — żyli ze sobą jeno jak brat z siostrą. Nietylko zaś ludzie, ale i wszelkie zwierzęta w raju również były wtedy zupełnie „niewinne”. Aliści szatan w postaci węża zakradł się do raju i, wmówiwszy w Ewę, że po spożyciu owocu z „drzewa poznania” stanie się podobną bogom, namówił ją do przekroczenia zakazu Jehowy. Ewa zaś namówiła Adama, aby też zjadł kawałek tego owocu, poczem natychmiast poznali, iż są nadzy i zgrzeszyli przeciwko Jehowie. Jehowa, dowiedziawszy się o grzechu ludzi, zapalał wielkim gniewem i przeklął ich na wieki. A nietylko ich, ale i ich potomstwo, i wszystkie niewinne zwierzęta w raju, i węża, i samą ziemię, którą dopiero stworzył. Naskutek tego strasznego przekleństwa Adam miał odtąd ciężką pracą w pocie czoła zdobywać swój chleb powszedni, Ewa — rodzić dzieci w bólu i być podwładną mężowi, którego do grzechu namówiła, wąż—pełzać na brzuchu, a wszystkie zwierzęta podzieliły los ludzi i też przestały być „niewinne”.

Oto mniej więcej wszystko. Zaznaczmy mimochodem, że to biblijne podanie bynajmniej nie jest oryginalne: na wiele tysięcy lat przed napisaniem biblijki znane już było asyryjczykom i babilończykom podanie o raju, o „drzewie poznania” i „drzewie żywota”; w ruinach Babilonu odnalezione zostały kamienie, na których wryte były obrazy, przedstawiające parę ludzką dokoła drzewa poznania i węża za postacią kobiety; również znaleziono ryty obraz „drzewa żywota” oraz cherubów z wirującym mieczem ognistym (piorunem) w ręku. Niema więc żadnej wątpliwości, że całe to podanie, jak

zresztą prawdopodobnie i całą księgę „Rodzaju“, przyjęli żydzi od babilończyków i przypisali ją Jehowie; chrześcijanie zaś przyjęli je od żydów i przypisali świętemu duchowi.*)

PRZYPUSZCZALNE ZNACZENIE ALEGORJI.

Dużym błędem myślowym byłoby wszakże przypuszczenie, że ludzkość przez tak długie tysiącolecia karmiła się naiwną bajką, w której jakoby najmniejszego sensu nie było. Tylko bezgraniczna zarozumiałość nieuków może uwierzyć, że dziesięć tysięcy lat cywilizacji, bo tak daleko mniej więcej wstecz sięgają przypuszczalne wiadomości nasze o życiu społeczeństw kulturalnych wytworzyło tylko stek bzdurnych bajek, które dopiero my, ostateczny wykwit cywilizacji, potrafimy odrzucić, aby stać się pierwszymi oświeconymi ludźmi na naszej planecie. Pogląd taki dowodziłby tylko naszej ograniczonej umysłowej.

Zadaniem badacza jest odkryć utajone znaczenie podania i wyjaśnić jego sens; wielu uczonych podejmowało to zadanie, i jeśli nie można mieć zupełnej pewności, to w każdym razie z dużym prawdopodobieństwem zbliżono się na podstawie tych badań do wyjaśnienia zagadki.

Cywilizacje starożytne rozwijały się nieco odmiennym torem niż nasze. Podczas gdy naszym dążeniem jest uprzystępnienie nauki jaknajszerszym masom ludzkości i podniesienie ogólnego poziomu wykształcenia, starożytni mędrcy działali w odmiennym kierunku: uważali, że tłum nie zdoła pojąć prawdziwej wiedzy, powinna więc ona zostać własnością szczupłego grona wybranych, którzy na niej gruntowali swoją władzę i siłę.

*) Fryderyk Delitsch—Babilon i Biblia.

Toteż nauka kryła się za murami świątyń, gdzie kapłani przez całe wieki i tysiącolecia oddawali się badaniom i poszukiwaniom, a dostęp do tych tak zwanych „tajemnych nauk“ utrudniony był nawet „wybranych“ całymi latami prób i doświadczeń, które zniechęcały słabszych, a świątyniom zabezpieczały utrzymanie tajemnicy.

Nie ulega już dzisiaj żadnej wątpliwości, że np. kapłani egipscy badali umiejętnie elektryczność, że posiadali latarnie czarnoksiężkie, przy których pomocy rzucali na tło chmur obrazy bogów, jakoby ukazujących się ludowi w niebie, że znali hypnotyzm, a może i wiele innych sił, nam jeszcze nieznanymi. Ponieważ umiejętności te dawały im możliwość utrzymania władzy nad ciemnym tłumem, strzegli oni zazdrośnie swej tajemnicy; księgi ich pisane były alfabetem, znanym tylko „wtajemniczonym“, a same wiadomości, w nich zawarte, podawane były w formie mętnej i przenośnej, aby niezupewnie pewny człowiek, nawet po przypadkowem przeczytaniu księgi, nie mógł dokładnie zrozumieć treści.

W ten sam sposób i z tej samej przyczyny nawet prawdy moralne ubierano w szaty bajek i podań, które dla wtajemniczonych były tylko przenośniami—alegorjami, lecz dla tłumu stanowiły artykuł ślepej wiary.

Nie mam tu możności przytaczania całego szeregu tych alegorji naukowych, których odzwierciedleniem była cała religja egipska; ciekawych odsyłam do dzieł specjalnych. W tej chwili zajmujemy się odcyfrowaniem podania o grzechu pierworodnym.

Przypuszczalne jego znaczenie przedstawia się w sposób następujący:

W najpierwotniejszym stanie swojego bytu ludzie żyli życiem wszystkich niedrapieżnych zwierząt, a więc: żywili się owocami drzew lub różnymi korzonkami, nie troszczyli się o zapasy, nie znali odzieży, słowem — wiedli żywot swobodny i beztroski; pamiętajmy przytem,

że podania te powstały w krajach gorących, gdzie klimat i bogactwo roślinne umożliwiały ludziom podobny byt. Z biegiem czasu człowiek pierwotny wywalcza sobie czołowe miejsce wśród fizycznie silniejszych od siebie zwierząt na mocy wyższego rozwoju swego umysłu; większe bezpieczeństwo wytwarza znaczne rozmnażanie się rodzaju ludzkiego, co z kolei wywołuje utrudnienia w znajdowaniu pożywienia i zmusza ludzkość do szukania nowych dróg w tym celu; zaczyna się „wiedza“, polegająca na wiadomościach o różnych zwierzętach, które można przyswajać i o roślinach, które można uprawiać. To „poznanie dobra i zła“ jest wynikiem większej siły umysłowej człowieka, ale jednocześnie zmusza go do „ciężkiej pracy“, która jest przekleństwem boga. Do „poznania“ popycha człowieka „żądza wiedzy“ w postaci szatana, siły mądrej a złej w przeciwieństwie do boga, siły dobrej. Przypomnijmy sobie mimochodem, że nazwa jednego z najpotężniejszych szatanów brzmi: Luciferus (Lucyfer), co znaczy „światłonośca“. Walka między „dobrem“ a „złem“, między światłem a ciemnością, między zimnem a ciepłem, jest zasadniczym pojęciem każdego stworzenia, a upostaciowanie jej — bezwzględnie pierwszym obrazem każdej koncepcji religijnej. Ponieważ więc rozwój umysłowy dał człowiekowi potęgę w ręce, a jednocześnie zmusił go w konsekwencji do pracy, jest on zatem darem złej siły, złego boga, który namówił go do tego „grzechu“ na przekór dobrej sile, dobremu bogu.

Jednocześnie podanie to piętnuje mianem szatana największego wroga człowieka — jadowitego węża.

Jak widzimy, dziwaczna bajka daje się z dużym prawdopodobieństwem łatwo i zupełnie prosto wytłumaczyć, i doprawdy — podziwiać należy starożytnych uczonych, którzy dla tak głębokich prawd znaleźli tak ładną i przystępną formę.

Jak już wyżej mówiłem, uczeni kapłani starożytni ubierali swoje odkrycia naukowe, zarówno jak i poglądy filozoficzne, w szaty alegoryczne, nakazując ciemnym tłumom przyjmować te bajki za prawdę; w ten sposób tłumaczyli mu, nie wyjaśniając, wszelkie przejawy życia. Dziś jednak ludzkość doszła już do tego stopnia rozwoju, gdzie przeciętna jednostka z tłumu samem cytowaniem mu podaniem nie może się zadowolnić, i tłumaczenie konieczności pracy przez przekleństwo boga już jej nie może wystarczyć. Jeśliby świadomi prawdy mówili tłumowi, że podania te są bajkami, przenośniami, — moglibyśmy z całą przyjemnością je opowiadać, wyjaśniając jednocześnie ich przypuszczalne znaczenie.

Ale jeśli ktoś, przemawiający rzekomo w imię wszechmocnego i jedynie prawdziwego boga, zechce nas przekonywać, że podanie to nie jest bynajmniej jakąś alegorją, lecz szczerą, rzeczywistą, niezmienną prawdą, że każdy wyraz i każda myśl została podyktowana przez ducha świętego, i nie wolno nam w tem jednej literki zmienić, ani jednego zdania zrozumieć inaczej, niż jest napisane, słowem—jeśli nam każą uwierzyć na ślepo w literalne znaczenie podania, wtedy rozbudzona myśl poczyna burzyć się przeciwko nedorzecznosciom, zawartym w słowach dziwacznych i nielogicznych opowieści, i nasuwają nam się pytania, obalające całą konstrukcję absurdałnego objawienia.

DOSŁOWNE POJMOWANIE PODAŃ.

Znamy wszyscy prześliczną bajkę o lampie Aladyna, jedną z bajek Tysiąca i jednej nocy. Jako dzieci i jako dorośli zachwycaliśmy się przedziwną fantazją jej autora, prowadzącego swych słuchaczy przez labirynt cudów,

sprawianych przez potężnego ducha, posłusznego sile, zawartej w starej cudownej lampie.

Jeśliby jednak powstał jakiś prorok, nakazujący nam wierzyć, że historia Aladyna nie jest wymysłem genialnego poety, lecz bezwzględną prawdą, rzeczywistością, że w samej rzeczy istniał Aladyn, że jego lampa naprawdę rozkazywała duchowi, którego siła i władza granic nie ma, wtedy nawet najpotulniejszy zwolennik proroka zapytałby go: a dlaczego tak potężny duch nie odbiera słabemu dziecku lampy, która ma nad nim władzę? a dlaczego wszechwładnym panem ducha staje się złodziej, który ukradł lampę u prawowitego właściciela? a kto jest obecnie właścicielem lampy? a co by się stało z duchem, gdyby lampa się stłukła? i t. d. i t. d. A szereg takich pytań dowiódłby prorokowi, że już lepiej zostać w sferze bajki i nie usiłować wmawiać ludziom, że historia Aladyna jest objawieniem boskiem.

Nieinaczej wyglądać będzie podanie o grzechu pierworodnym, gdy nam je narzucać będą jako świętą prawdę; bo otóż nasuwają nam się natychmiast pytania:

Jeśli bóg jest wszechwiedzący, to musiał też zgóry wiedzieć, że Ewa zje zakazany owoc, jeśli drzewo poznania będzie dostępne dla niej; dlaczegóż więc nie postawił przy niem warty? A poco je wogóle umieścić w raju, kiedy nikomu nie wolno było z niego zrywać owoców?

A jeśli bóg wszystko sam stworzył, to chyba i węza stworzył z całą świadomością, że tenże skusi Ewę do grzechu; grzech ten zatem stał się z wolą boga, bez którego woli zresztą wogóle nic się nie dzieje;*) a wobec tego dlaczego przeklina istoty, które tylko spełniły jego wolę?

*) „A wasze włosy wszystkie na głowie są policzone“ (Mat. 10 — 30).

A jeśli bóg życzył sobie, aby twory jego żyły w niewinności i nie mnożyły się, to pocóż stworzył je z organami rozrodczymi? A jeśli znów zgóry wiedział, że te organy będą im potrzebne do grzechu pierworodnego, to całkowita odpowiedzialność winna spaść na świadomego stwórcę, a nie na nieświadome stworzenie.

Te i tym podobne pytania i wnioski są zupełnie dostateczne, aby wyświecić całą nedorzecznosc dosłownego, literalnego pojmowania podania o grzechu pierworodnym.

A jednak...

A jednak, wszystkie kościoły żydowsko-chrześcijańskie nakazują bezwzględną wiarę w rzeczywistą prawdę owego niesłychanego zdarzenia, nie pozwalają myśleć o żadnej przenośni i z bajki tej wysnuwają tak potworne wnioski, że całe życie pobożnego kościelnika staje się jednym pasmem udręczeń, trosk i pokuty za cudze grzechy.

Bo oto jakie z tego wynikają konsekwencje.

KONSEKWENCJE DOSŁOWNEGO POJMOWANIA PODAŃ.

Ponieważ bóg, przeklinając kobietę, skazał ją na rodzenie dzieci w bólu, przeto rodzenie dzieci jest grzechem, a więc logicznie grzechem jest i akt małżeński, jako prowadzący do grzechu.

Św. Paweł ujął tę sprawę w następujący sposób: „Dlatego jako przez jednego człowieka grzech na ten świat wszedł, a przez grzech — śmierć; i tak na wszystkich ludzi śmierć przeszła, w którym wszyscy zgrzeszyli.“ (Rzym V 12). Ujęcie to nie jest w całości logiczne, gdyż wychodzi z założenia, jakoby wszelkie stworzenia w raju, a więc i ludzie, mieli żyć wiecznie, a śmierć jest przeto tylko wynikiem grzechu pierworodnego. Ponieważ Je-

zus, według wszystkich ewangelji, nigdy o grzechu pierwotnym nie mówił, zdanie więc Pawła mogło się opierać tylko na tekście biblijnym; tymczasem tekst ten głosi wręcz przeciwnie: po wypowiedzeniu przekleństwa na węża, Ewę, Adama i całą ziemię, Jehowa rzekł: „Oto człowiek stał się jako jeden z nas, co do wiedzy dobrego i złego, a teraz może sięgnie ręką swoją i weźmie także z drzewa życia i spożyje, aby żył na wieki!” (Genes. III 22).

Czyż to nie najzupełniej pewna wskazówka (naturalnie według bibliji), że ludzie już zostali stworzeni odrazu, jako istoty śmiertelne? Wszak właśnie z obawy przed ich „uwiecznieniem się” wypędził ich Jehowa z raju, gdzie rośło drzewo życia, do którego dostępu odtąd bronią postawieni w tym celu przez Jehowę cherubowie i płomienne miecze wirujące! (Gen. III — 24). Toteż brak logiki w powyższej cytacji Pawła odstręczał od idei jego pierwszych chrześcijan. Przez 300 lat walczyły ze sobą w kościele chrześcijańskim dwa poglądy: wschodni kościół, prawdopodobnie pod pogodniejszym wpływem greckiej filozofji etycznej, nauczał o wolnej woli człowieka i osobistej odpowiedzialności każdej jednostki za własne grzechy; zachodni kościół natomiast, mniej wykształcony filozoficznie, a zato mocniej i bezwzględniej dążący do władzy i bogactw doczesnych, forsował naukę o przyrodzonej konieczności grzechu, odziedziczonej po Adamie. W rezultacie zwyciężył pogląd kościoła zachodniego, wobec czego cały kościół chrześcijański zgodził się na to, że „żądza cielesna jest środkiem do powtórzenia grzechu pierwotnego“.

Dalsze konsekwencje, jakie wyciągali z takiego pojmowania opowieści biblijnej ojcowie kościoła i wielcy święci — są tak okropne, że dusza ludzka wzdryga się na myśl o nich. Już pomińmy naukę Origenesa, który propagował kastrację, jakiej zresztą sam się poddał, aby uniknąć w ten sposób możności powtórzenia grze-

chu pierworodnego. Pomińmy go choćby dlatego, że nauka jego została potępiona przez 5-y synod ekumeniczny w Konstantynopolu. (553)

Ale przypomnijmy sobie naukę św. Hieronima, jednego z największych świętych kościoła chrześcijańskiego, autora „Vulgaty“, łacińskiego tłumaczenia biblii, założyciela pierwszych klasztorów męzkich i żeńskich w Betlejemie, których mieszkańcy oddawać się winni byli nauce i kontemplacji, — twórcy nowego działu literatury: pobożnych powieści.

Ten wielki i uczony święty (zmarł w r. 420) tłumaczył wiernym chrześcijanom, że kto się chce zbawić, winien żyć w absolutnej czystości cielesnej, albowiem współżycie małżeńskie jest bezwzględnym grzechem, przeklętym przez boga. W liście do Tytusa nie waha się Hieronim dowodzić, że dziewiczość jest wyższa od małżeństwa, ponieważ jest stanem naturalnym kobiety, która przecież rodzi się dziewicą; akt zaś małżeński jest tylko skutkiem grzechu Adama. Aby zachęcić kobiety do zachowania dziewiczości, św. Hieronim maluje gorącemi barwami rozkosze, jakie oczekują dziewice w niebie, gdzie je przyjmą specjali serafini. W liście do Eustachji przekonywa ją, że powinna córkę swą oddać bogu dziewicą, gdyż w ten sposób stanie się teściową boga. W poszukiwaniu argumentów, uzasadniających zupełną abstynencję, doszedł ten wielki święty do twierdzenia, że ponieważ Paweł apostoł nakazał nieustanną modlitwę, a podczas aktu małżeńskiego nie można się modlić, powinien przeto pobożny chrześcijanin unikać małżeństwa, aby się nie stać nieposłusznym apostołowi!

A pamiętajmy, że Hieronim był świętym, to znaczy, że przez usta jego przemawiał duch święty, a więc sam bóg. Zresztą w tych naukach nie był bynajmniej odosobniony.

Gdy przeszło tysiąc lat później sobór Trydencki (1537 — 1563) ustalał naukę kościoła powszechnego, przytoczony powyżej ustęp listu Pawła do rzymian został uznany jako dowód grzechu pierworodnego, pomimo sprzeczności jego z tekstem biblijnym.

Straszliwy dogmat ten ma tylko jedno uzasadnienie logiczne: daje on niezmierną władzę nad duszami tym, którzy potrafili przekonać nieszczęsne pleię ludzkie, że sam bóg powierzył im moc i prawo zwalniania grzeszników od kary i oczyszczania ich od grzechu. W tem też dążeniu do zagarnięcia rządu dusz a co za tem idzie i skarbów doczesnych, należy szukać przyczyny, która wciąż się ze sobą gryzące rozmaite sekciarskie kościoły chrześcijańskie pogodziła jednak na tym jednym punkcie: uznaniu dogmatu grzechu pierworodnego.

* * *

Dogmat grzechu pierworodnego zakuwa człowieka w niewolę kościelną od pierwszej chwili urodzenia aż do grobowej deski i poza grób. Jestto już zupełnie konsekwentne: samo urodzenie się dziecka jest grzechem śmiertelnym, grożącym mu wiecznem potępieniem, o ile kościół nie udzieli mu, naturalnie za opłatą, rozgrzeszenia w postaci sakramentu chrztu.

Ale to rozgrzeszenie jest tylko częściowe, a właściwie chwilowe: grzech dalej ciąży na dziecku, tylko w zmniejszonej nieco formie, bo raz przez Jehowę przeklęty człowiek nigdy grzechu wyzbyć się nie może; grzech czyha ze wszystkich stron na wyklęte stworzenie, które grzeszy nietylko uczynkiem, ale i myślą, a nawet nieświadomie, a od kary za te grzechy, nawet nieświadome, uwolnić je może tylko kościół, naturalnie za opłatą.

Gdy dziecko staje się młodzieńcem, budzi się w nim naturalna chęć do utrzymania gatunku. Znów interweniuje kościół, który oświadcza, że żądza cielesna jest środ-

kiem do powtórzenia grzechu pierworodnego, a więc małżeństwo o tyle tylko nie jest grzechem śmiertelnym, o ile kapłan je pobłogosławi, naturalnie za opłatą.

I znów toczy się życie dojrzałego człowieka korytem nieustannego grzechu i nieustannego rozgrzeszania, naturalnie za opłatą, aż nieszczęsna ofiara rajskiego błędu czuje nadchodzącą śmierć wybawicielkę. Ale i śmierć będzie dla człowieka grzechem, grożącym mu piekielnymi mękami, o ile kościół nie opatrzy go ostatniem namaszczeniem i nie rozgrzeszy go po ostatniej spowiedzi, naturalnie za opłatą.

Oto już leży trup, proch, nic, z którego dusza uleciała do nieba, po otrzymaniu odpowiedniego świadectwa od księdza; zdawałoby się, że już nic więcej nie trzeba, że wszystko jest w porządku. Ale gdzie tam! Ten trup musi leżeć w „poświęconej“ ziemi, a pozwolenia na pogrzeb podobny może udzielić tylko kościół, naturalnie za opłatą.

To jest droga żywota pobożnego kościelnika: płacz i płąć! Płacz nad grzechami, spełnionymi przez ciebie i twoich przodków i płąć kościołowi za ocalenie ciebie od wiecznego potępienia.

C H R Z E S T.

Pierwszym sakramentem, oczekującym chrześcijanina jakiegobądź obrządku po jego przyjściu na świat, jest chrzest. Mniejsza z tem—w jakiej formie; pomińmy też baptystów, którzy, o wiele logiczniej, chrzczą się już jako dorośli.

Chrzest jest bezwzględną koniecznością wyznaniową. Zmywa on z noworodka grzech pierworodny, daje mu łaskę poświęcającą, uwalnia go od wiecznego potępienia. Jestto więc sakrament bardzo ważny, właściwie

najważniejszy, jako iż grzech pierworodny jest największym grzechem, którego nikt uniknąć nie może.

Biada więc człowiekowi, którego win chrztem nie zmazano! Jeszcze jeśli to jest dzikus, który nigdy o Jezusie nie słyszał, a żył mimoto, jak chrześcijanin, to może mu się uda uniknąć wiecznego piekła, tak jak go uniknęli ci, co żyli przed narodzeniem Chrystusa, a których kościół nie mógł jednak tak bezceremonialnie w czambuł skazać na męki, jak np. Sokrates, Platon, Arystoteles i inni poganie. Ale taki zwykły śmiertelnik dzisiejszych czasów, nie chrześcijanin i nie papuas — to bezwzględne ofiary losu. a właściwie mściwości Jehowy. Z powodu nieposłuszeństwa Adama i Ewy ci nieszczęśliwcy, po względnie krótkim pobycie na tej ziemi, udają się do piekieł, gdzie jest wieczny płacz i zgrzytanie zębów.

Ale najgorzej to już jest z dziećmi chrześcijan. Wprawdzie rodzice, przyjąwszy w swoim czasie chrzest, zmyli z siebie ów zagadkowy grzech, niemniej jednak dziecko rodzi się wciąż w tym samym grzechu śmiertelnym. Ten ciekawy fakt, że bezgrzeszni rodzice dają życie grzechowi, tłumaczy kościół w ten sposób, że grzech pierworodny jest jak dziedziczna choroba, np. suchoty, która przechodzi na potomstwo, ponoszące karę za winę rodziców. Coprawda, tłumaczenie to i porównanie nie bardzo przemawiają do rozumu ucywilizowanego człowieka, bo popierwsze nie jest prawdą, jakoby choroby dziedziczne **zawsze** przechodziły na potomstwo i to koniecznie w pierwszym pokoleniu, a powtóre, skoro rodzice już byli chrzczeni, to znaczy wyleczeni doszczętnie z odziedziczonej choroby, to z jakiej racji mieliby przekazywać swoim dzieciom nieistniejącą już w nich chorobę? Ale logika kościelna jest tak dziwna, tak nie z tego świata, że i to twierdzenie musi chrześcijanin przyjąć w pokorze, powtarzając za św. Augustynem: wierzę, albowiem jest to nedorzecznosc.

DZIECI NIECHRZCZONE.

Wracając do niechrzczonych dzieci chrzczonych rodziców, wyobraźmy sobie taki fakt:

Urodziło się kobiecie na wsi dziecko, duże, zdrowe dziecko; urodziło się w ślubnym małżeństwie; i ojciec i matka są to pobożni chrześcijanie i w tydzień po urodzeniu dziecka pragną zmyć z niego grzech śmiertelny przez święty chrzest w kościele.

Uprosilili kumów, aby dziecko trzymali do chrztu w niedzielę. Dzień przedtem chrzestna matka poszła do spowiedzi, otrzymała rozgrzeszenie i przyjęła komunię, to samo ojciec chrzestny. Oboje są czyści i w stanie łaski.

Nazajutrz, w niedzielę, chrzestna otuliła dzieciaka w poduszkę i chustę i z wielką ceremonją w asystencji kuma i rodziny niesie go do kościoła.

I tu staje się straszny wypadek: przez szosę pędził zwarjowany automobil z nieco podchmielonym szoferem i najechał na całe towarzystwo; wszyscy jakoś szczęśliwie się usunęli, ale baba z dzieciakiem dostała się pod koła i oboje zostali zgnieceni na miazgę. Na szosie leżą dwa trupy, automobil naturalnie uciekł.

Teraz zaczyna się tragedia:

Należy ustalić, kto w danym wypadku ponosi winę; ponieważ zamieszane są tu tylko trzy osoby, t. j. szofer, baba i dziecko, jedna więc tylko z tych trzech osób może być uznana za winną. Ale my nie mamy zaufania do ludzkiej sprawiedliwości i po rozstrzygnięciu tej wątpliwości udajemy się do samego boga, który przecież, podług głębokich wierzeń kościelnych, ani sam mylić się nie może, ani też innych zmylić.

Wychodząc z założenia, że — znów podług katechizmu chrześcijańskiego — winny musi ponieść karę na tym lub na tamym świecie, i zważywszy, że jedyny pozostały na tym świecie, t. j. szofer, uszedł kary poli-

cyjnej przez ucieczkę, zapytajmy kościoła, jaki będzie los tych trzech osób po śmierci. A więc:

Szofer, jeśli jest dobrym katolikiem, pójdzie do spowiedzi, otrzyma pokutę, a po odbyciu teje—rozgrzeszenie. Przez odpowiednie odwiedzanie świętych miejsc, w rodzaju Rzymu, Częstochowy, Kalwarji i t. p., może uzyskać odpust częściowy lub nawet całkowity. W najgorszym wypadku grozi mu określony pobyt w czyśćcu, którego termin też może sobie skrócić, jeżeli zostawi kościołowi pewien fundusz na odprawianie mszy po jego śmierci. W każdym więc razie grozi mu kara względnie lekka, a więc, logicznie biorąc, i wina jego w oczach boga jest zupełnie nikła.

Baba, jako iż dzień przedtem otrzymała rozgrzeszenie i nie mogła zdążyć dużo nagrzeszyć przez jedną noc, ma zapewniony wstęp do nieba, a więc i wina jej w oczach boga jest żadna.

Dziecko, jako niechrzczone, jest bezapelacyjnie skazane na wieczne potępienie; duszyczka jego idzie prosto do piekła, skąd już nigdy wydostać się nie może; a więc w oczach boga całkowita wina spada na dziecko.

Mógłby ktoś naiwny oburzyć się na taki wyrok: cóż może być winne dziecko, że głupia baba niosła je środkiem szosy, a pijany szofer pozbawił je życia właśnie na pięć minut przed chrztem? Czyż bóg może być tak niesprawiedliwy, by za ewentualne winy dwóch osób, działających świadomie, tak straszliwie i beznadziejnie karać trzecią osobę, zupełnie nieświadomą i bezwolną?

Rozbrajająca naiwność! Cóż ma nasza ludzka ograniczona sprawiedliwość wspólnego z nieomylną sprawiedliwością boską?

Kwestja wiecznego potępienia dla zmarłych niemożliwą niejednokrotnie poruszała sumienia chrześcijan, których umysły nie były doszczętnie otumanione sofi-

styką rzymską, ale kościół stoi twardo przy swoim: dziecko było niechrzczone, grzech pierwotny nie został zmyty, duszyczka więc bezwzględnie jest potępiona. Wprawdzie światlejsi księża twierdzą, że taka duszyczka, chociaż nigdy do królestwa niebieskiego dostać się nie może, ale i mąk piekielnych też znosić nie będzie; ale w oczach prawowiernych katolików ten modernistyczny pogląd jest kacerstwem: w czasopiśmie, wydawanem przez jezuitów w Krakowie, jeden z nich wyjaśnia wiernym, że wprawdzie jest to pożalowania godny fakt, że niewinna duszyczka dziecka zostaje potępiona na wieki, ale „Bóg czasem dopuszcza takie wypadki“ (dosłownie!). Uprzejmie dziękuję za taką sprawiedliwość, która „dopuszcza” podobne wyroki!

Wyobrażam sobie scenę pomiędzy duszą owego niemowlęcia a klucznikiem raju, św. Piotrem:

Do bram raju zbliża się w wesołych podskokach mały aniołek i uderza piąstką we furtkę.

— „A kto tam?” rozlega się pytanie.

— „To ja, ojcze święty, aniołek, otwórzcie mi”.

Furtka uchyla się. Święty Piotr z dobrotliwym uśmiechem spogląda na dziecko i nagle twarz jego zachmurza się.

— „A gdzie ty się tak umorusałeś, nieboże? Skrzydła twoje są czarne, jak sadze, a zdaleka już czuć cię grzechem śmiertelnym”.

— „Ależ, ojcze święty, nie poznajesz mnie? Wszak dopiero tydzień temu błogosławiłeś mnie, gdy odlatywałem z bożego rozkazu na ziemię. Wszedłem w ciało dzieciątka i doprawdy nie mogłem zgrzeszyć, bo nic nie wiedziałem, co się ze mną dzieje”.

— „Ba, duszo zatracona, to wszystko prawda, ale ksiądz cię nie ochrzcił, jakżeż ja cię wpuszczę do nieba? O, widzisz, już tam w piekle djabeł szykuje dla ciebie ognistą kąpiel, w której będzie wieczny płacz

i zgrzytanie zębów, jak to wyraźnie napisane w ewangelji świętej”.

— „Ratujże mnie, ojcze kochany! Przecież to z woli bożej, ja — czysty i bezgrzeszny aniołek — wcieliłem się w dzieciątko i z woli też bożej wyswobodziłem się z jego ciała właśnie pięć minut przed chrztem. Jakżeż mogę zostać potępiony, skoro bezwolnie spełniałem rozkazy wszechmocnego Boga, w świętej Trójcy jedynego”.

— „Hm, biedneź ty jesteś, moje dziecko! Bardzo, bardzo mi przykro, że Pan Bóg dopuścił taki wypadek, naprawdę, szczerze ci powiadam, że mi niezmiernie przykro; ale co ja tu mogę pomódz, kiedy ksiądz ciebie nie ochrzcił? Trudno, mój aniołku, musisz ten krzyż wziąć na siebie; no, idź już, idź do piekła, ja się tu pomodłę za ciebie, chociaż prawdę mówiąc, nic ci to nie pomoże, boś skazany na wieczne męki.

„Ależ, ojcze święty, zlituj się, toć gdzież tu sprawiedliwość? Chyba spełnianie woli Pana Boga nie może mi być policzone za grzech śmiertelny?”

„Cicho, ty smyku jeden! Nie tobie sądzić o sprawiedliwości boskiej, od tego jest ksiądz! Chrzczony nie byłeś, won do piekła i szlus! Taki smarkaty brudas będzie mnie tu uczył, co jest albo nie jest sprawiedliwe; o, widzicie gol...”

I oburzony klucznik zatrzasnął furtę, nie słuchając już dalszych jęków aniołka, którego zresztą w tej chwili ucapił djabeł, taki prawdziwy djabeł z rogami i kopytami, o którego istnieniu nie wolno wątpić pobożnemu chrześcijaninowi pod grozą grzechu śmiertelnego.

* * *

Dziwnem się może wyda komu, że o tak poważnych rzeczach, jak wieczne potępienie za brak chrztu mówi się tu tak lekko i żartobliwie. Ale jakżeż tu poważnie traktować sprawę, która od początku do końca

jest jedną niedorzecznością, jednym absurdem? Tu znów się powtarza historia lampy Aladyna: chrzest, wprowadzony, podług ewangelji, przez Jana Chrzciciela, był symbolem, i w dodatku pięknym symbolem: było to oczyszczanie ciała na znak oczyszczania się z grzechów t. j. z pożądań ziemskich. W tym sensie odbywają chrzest po dziś dzień jeszcze hindusi, zanurzający się w świętych wodach Gangesu, mahometanie, czyniący ablucje przy świętych źródłach Kaaby, nawet chrześcijanie baptyści, chrzczący się przez kąpiel po dojściu do pełnoletności.

Nie inaczej pojmowano też chrzest i w czasach ewangelicznych: „Jać was chrzczę wodą ku pokucie”, mówił Jan Chrzciciel (Mat. III-11), a więc nie dla zmycia grzechu pierworodnego, o którym wogóle w ewangeljach niema ani jednego słowa.

Jeśli zaś z podobnego symbolu ktoś czyni „objawioną prawdę“, grożąc wiecznem potępieniem niemowlęciu, nad którem nie zdążono spełnić tej ceremonji, to doprawdy śmiech może być jedyną odpowiedzią na podobną niedorzeczność.

O B R Z E Z A N I E.

Porównywając różne teksty nowego testamentu, w szczególności zaś listy św. Pawła, dochodzimy z łatwością do przekonania, że chrzest w chrześcijańskiej jego formie, jest niczem innem, jak namiastką żydowskiego chrztu—obrzezania, przymierza żydów z Jehową. Nie mielibyśmy więc pełnego obrazu stosunku kościoła do człowieka, gdybyśmy się nie zastanowili w tem miejscu jak powstał wśród żydów obyczaj krwawego chrztu, o całe tysiącolecia poprzedzającego chrzest z wody pro-

roka Jochanena, zwanego w nowym testamencie św. Janem Chrzycielem. Da nam to jednocześnie możliwość skonstatowania jeszcze raz, że wszystkie wyznaniowe kościoły świata tego mają jednakowe metody i jednako-
we cele: zdobycie władzy nad ludźmi i utrzymanie ich w ciągłej zależności duchowej i materialnej od zastępców boga na ziemi.

Jest stałem zjawiskiem w życiu społecznym grup ludzkich wyodrębnianie się od innych grup przez pewne odznaki zewnętrzne. Nadaje to danym grupom pewną spistość wewnętrzną, pewną scisłość, dającą im możliwość łatwiejszego przeciwstawiania się niszczycielskiemu naporowi grup sąsiednich.

Taką odznaką jest np. totem wśród indjan kanadyjskich. Totem,—jestto znak, przeważnie figura jakiegoś zwierzęcia lub ptaka, służąca niejako za świętość plemienną. Członkowie plemienia ryją sobie swój totem na piersiach: bywa to figura węża, żółwia, wilka i t. p. Nie będziemy tu mówili o wadze, jaką indjanie przywiązują do swego totemu, ani o czci religijnej, jaką oddają stworzeniu, które sobie za totem obrali: zaznaczymy tylko, że znak ten jest niezatartym śladem przynależności do pewnej grupy plemiennej, w odróżnieniu od wszystkich innych grup.

Podobną odznaką jest rozpowszechnione wśród prawie wszystkich ludów pierwotnych, czerwonoskórych, malajczyków, australczyków i in.—tatuowanie, odmienne dla każdego plemienia. Przeważnie dzieje się to w ten sposób, że pierwszą kreskę nacina się młodzieńcowi, gdy dojrzewa płciowo, dalsze linje dowodzą jego odwagi, wytrzymałości, okrucieństwa i t. d. Starzy, doświadczeni wojownicy, wielokrotni zwycięzcy w walkach, mają już całe ciało porysowane rozmaitemi linjami, kółkami, kropkami: noszą na sobie cały swój życiorys, a często i historję swego plemienia.

Z niewielkimi wyjątkami przyjęły ludy pierwotne zasadę odznaczania w ten lub inny sposób młodzieży swojej w okresie dojrzewania, t. j. między 12 a 16 rokiem życia. Połączone to bywa z uroczystościami społeczno-religijnymi, mającymi jakby zaakcentować ten ważny moment w życiu człowieka.

Nietylko wszakże tatuowanie jest widocznym znakiem dojrzałości płciowej. U licznych plemion malajskich jest zwyczaj zaostrzania młodzieńcom przednich zębów, niektóre plemiona australskie praktykują wybijanie dziewczynie dwóch przednich dolnych zębów (Arago); inne znów liczne plemiona uprawiają obrzezanie, jako dowód dojrzałości płciowej. Do tych ostatnich zaliczają się arabowie, koptowie, abisyńczycy, kafrowie, egipcjanie, mieszkańcy wysp Południowych, indjanie meksykańscy, indjanie z nad rzeki Orinoko, z nad rzeki Ucayali, peruańczycy, jawańczycy, wreszcie żydzi.

Jak już wspomnieliśmy, większość tych plemion praktykuje obrzezanie w wieku dojrzałości, t. j. między 12 a 16 rokiem życia; to samo było prawdopodobnie niegdyś u żydów, czego ślady znajdujemy w bibliji (Izmael obrzezany w 13 roku); później wszakże przeniesiono ów „akt przymierza“ na 8 dzień życia chłopca; również odbywa się w 8 dniu obrzezanie u indjan z nad rzeki Orinoko (Ameryka Południowa).*)

Niezbadanem zostało dotychczas, skąd obrząd obrzezania wziął się w Ameryce i w Australji, i jaki lud zapoczątkował tam ten zwyczaj. Zdaje się wszakże nie ulegać wątpliwości, że t. zw. „stary świat“, t. j. Afryka, Azja i Europa, zwyczaj ten zawdzięcza egipcjanom, u których obrzezanie praktykowało się na kilka tysięcy lat przed naszą erą. Z Egiptu też ten zwyczaj rozszerzył się na Nubję, Syryję, Palestynę, Arabję, a przez

*) Ploss: *Geshichtliches und Ethnologisches über Knabenbeschneidung* (Lipsk 1885).

Arabów na całą Afrykę Północną, skąd prawdopodobnie przejęły go plemiona murzyńskie i przeniosły do Afryki Południowej.

Drogą ewolucji społecznej obyczaj ten dzikich ludów stał się obrzędem religijnym u żydów i mahometan, nigdzie jednak nie przyjął tego znaczenia narodowo-religijnego w tak silnym stopniu, jak właśnie u żydów.

Stary testament odnosi początek wprowadzenia obrzezania u żydów jeszcze do Abrahama (1 Mojż. XVII 9—14), większość jednak uczonych badaczy biblijni uważa ten rozdział za późniejszą wstawkę i przyjmuje za pierwszy stanowczy nakaz obrzezania werset: „A dnia ósmego obrzezane będzie ciało napletka jego“. (3 Mojż. XII — 3).

Historja powstania tego obyczaju u tyłu ludów pierwotnych jest niejasna: na tem tle jest wielka rozbieżność poglądów, powstały najrozmaitsze hipotezy, z których niektóre przytoczymy.

Niektórzy uczeni twierdzą, że obrzezanie u chłopców (greck. Peritome, łac. Circumcisio, hebr. Milah) było, jak zaznaczyliśmy na początku, aktem wyodrębnienia się z pomiędzy obcych plemion, totemizmu; inni sądzą, że było to stwierdzenie dojrzałości męskiej, narówni z t. zw. próbami wytrzymałości, praktykowanymi jeszcze dzisiaj przez wiele plemion czerwonoskórych; próby te polegają na całym szeregu męczarni, zadawanych młodzieńcom, a które znosić trzeba bez żadnych skarg, bez jęku, bez zewnętrznych oznak bólu; jeszcze inni, jak Lafargue, uważają, że obrzezanie jest zjawiskiem szczątkowym po ofiarach ludzkich, niejako wykupem dziecka, które powinno było być zarżnięte na cześć boga, częścią jego ciała.

Tę ostatnią hipotezę popiera jeszcze fakt, że obrzezaniu u wielu ludów pierwotnych podlegają również dziewczęta (excisio), którym wycinają Clitoris i Praepu-

tium, czasem i więcej jeszcze. Obyczaj ten zachowują ludy większej części Afryki, Jawajczycy, Peruńczycy i wszyscy indjanie z nad rzeki Ucayali, głównie zaś arabowie, którzy z wyrafinowaniem okrucieństwem powtarzają niekiedy tę ohydłą operację kilkakrotnie. Uporczywie też uprawiają ten obyczaj abisyńczycy, pomimo wprowadzenia chrześcijaństwa i pomimo wszelkich usiłowań przeciwdziałania ze strony kleru. Charakterystyczne są również doroczne uroczystości religijne w Senegalji i Port-Natal, podczas których obrzezaniu podlega jednocześnie młodzież obojga płci.

Niezależnie wszakże od powyższych teorii, które mają, jak widzimy, dość głębokie uzasadnienie, można by przyjąć prostsze wyjaśnienie, oparte bardziej na tle społecznem.

Jak już mówiliśmy, ludem, który w starym świecie pierwszy wprowadził obrzezanie, byli egipcjanie. W owych czasach Egipt stanowił państwo najsilniejsze i najbardziej cywilizowane, egipcjanie z całą słusnością uważali siebie za „lud wybrany“ w przeciwieństwie do otaczających ich „barbarzyńców“, a widomym znakiem tej przynależności do „narodu wybranego“ było obrzezanie. Gdy więc ludy, podbite i ciemiężone przez egipcjan, odzyskiwały wolność, wprowadzały u siebie przejęty obyczaj, jako znak swojej wolności.

Tak np. zrobili nubijczycy, tak zrobili i żydzi. W księdze Jozuego (rozdz. 5) czytamy, że Jozue obrzezał wszystkich żydów, wstępujących do ziemi Kanaańskiej, t. zn. wtedy, gdy stali się wolnym ludem. Zdaje się, że od tej chwili dopiero obrzezanie staje się u żydów aktem przynależności do grupy narodowo-religijnej, podczas gdy przedtem poddawały mu się tylko nieliczne jednostki, i to w najrozmaitszym wieku.

By skończyć z częścią historyczną naszego szkicu, zaznaczamy jeszcze, że początkowo obrzezanie polegało

tylko na ścięciu napletka nożem kamiennym (II Mojż. IV 24-25. Joz 5), co by było jednym dowodem więcej zasadności teorii Lafargue'a, gdyż i dziś jeszcze różne dzikie plemiona, używające już w życiu codziennym noży stalowych, posługują się nożami krzemiennymi przy składaniu ofiar swoim bogom.

Obrzezanie w dzisiejszej jego formie zostało wprowadzone u żydów o wiele później przez rabinów, dążących wszystkimi siłami do utrzymania odrębności żydów, którzy utracili już swój niezależny byt państwowy.

Akt obrzezania u żydów dzisiejszych składa się z trzech części:

- 1) Mila — ścięcie napletka;
- 2) Pria — rozdarcie paznogciami szczytu pozostałej skórki i odwrócenie jej na nice;
- 3) Mecuca — wyssanie krwi z rany.

Pierwsza część, mila, jest właściwem wykonaniem przytoczonego już powyżej nakazu mojżeszowego: „a dnia ósmego obrzezane będzie ciało napletka jego” i stanowi obrząd sama przez się.

Druga część, pria, jest nakazem rabinicznym, mającym na celu uniemożliwienie dorosłym mężczyznom powrotu do normalnego wyglądu przez wyciąganie pozostałego naskórka (grec. epispasmus, łac. recutitio), co robili żydzi, broniąc się przed wydrwiwaniami i prześladowaniami.

Trzecia część, mecuca, również nakaz rabiniczny, jest aktem łaski ze strony czyniącego to dla dziecka, wchodzącego w przymierze z Jehową; jestto usuwanie „nieczystej krwi”, coś w rodzaju „wydmuchiwania diabła” z dziecka przy chrzcie katolickim.

W ten sposób wykonywane obrzezanie przedstawia cały szereg niebezpieczeństw dla ofiary gwałtu wyznaniowego. Pamiętajmy, że operację tę, szczególnie

w małych miasteczkach, wykonywają ludzie, nie mający najmniejszego pojęcia o antyseptyce. Bardzo liczne są też wypadki zarażenia dzieci gruźlicą lub przymiotem, lub zakażenia, szczególnie przy rozrywaniu naskórka brudnymi często paznogciami i wysysaniu krwi podejrzanej czystości ustami.

Niestety, statystyki podobnej dotychczas nie prowadzono, a żydzi są zbyt ciemni i zbyt fanatyczni, aby przyznawać się głośno do faktów rytualnego morderstwa własnych dzieci. Że jednak takie fakty mają miejsce i nie są odosobnione, dowodzi prawo rabiniczne, które pozwala nie obrzezać chłopca rodzicom, którzy już stracili przez obrzezanie dwóch chłopców. Czyż trzeba bardziej przekonującego dowodu, że wypadki śmierci z tego powodu są dość częste?

Bardziej postępowi żydzi usiłowali usunąć z aktu obrzezania bodaj wysysanie krwi, najbardziej zagrażające zdrowiu dziecka; próbowano skutecznie je przy pomocy szklanej rurki, zwracano się wreszcie niejednokrotnie do rabinatów o zniesienie tej części obrzędu w imię obrony zdrowia i życia synów Izraela — ale skamieniałej ortodoksji stróżów religii Mojżesza nic wzruszyć nie zdołało: rabini stale odmawiali, a jeden z takich konwentyklów rabinicznych motywował odmowę tem, że nie wolno pozbawić prawowiernego żyda możliwości spełnienia czynu miłosierdzia, jakim jest mecuca w stosunku do dziecka.

Jak zwykle w takich razach — nie brak fanatycznym kaleczycielom dzieci obrońców wśród lekarzy, naturalnie — żydów. Twierdzą, że obrzezanie ma dodatni wpływ w wypadkach pewnych chorób wenerycznych; zdarza się też czasami, że podobnej operacji trzeba podać i dorosłego człowieka. Obrona ta wszakże nie wy-

trzymuje najłżejszej krytyki: obrzezanie nie może być uważane za środek profilaktyczny, t. j. zabezpieczający od choroby, gdyż obrzezani chorują tak samo jak i nieobrzezani, a możliwe zmniejszenie ilości tych chorób jest zerem w porównaniu z liczbą zarażonych lub zmarłych wskutek obrzezania.

Coby np. powiedzieli lekarze o wycinaniu niemowlętom wyrostka robaczkowego w przewidywaniu, że kiedyś mogą zapaść na zapalenie ślepej kiszki? Próbowano wprawdzie przed kilkudziesięciu laty stosować ten system w New-Yorku, gdzie większość mieszkańców cierpi chronicznie na choroby przewodu pokarmowego, ale dziś już niema zwolenników takiego masowego operowania.

Z rozważań powyższych dochodzimy do wniosku, że jedyną przyczyną, utrzymującą dotychczas krwawy obrzęd wśród żydów, jest potęga moralna (powiedziałbym — niemoralna) rabinów, widzących w obrzezaniu niezawodny środek odgraniczenia żydów od otaczających ich narodów, co temsamem daje im do rąk władzę nad w ten sposób wyodrębnionym tłumem.

Wśród ucywilizowanych ludów Europy żydzi są jedyną grupą religijną, która do dziś dnia zachowała ten barbarzyński obyczaj, dając tem smutne świadectwo swojej kulturze. Łącznie z żydami i mahometanami, na całym świecie praktykuje obecnie obrzezanie około 200 milionów ludzi, przeważnie plemion dzikich, z kulturą naszą nic wspólnego nie mających, jak kafrowie, polinezyjczycy, indjanie Ameryki Południowej i t. d.

A żydzi, z ich bezprzykładną megalomanią, wmawiają sobie, że Jehowa z nimi jedynymi uczynił święte przy mierze, rozkazując im kaleczyć dzieci.

PRZEZNACZENIE.

Pojęcie wszechwiedzy i wszechmądrości bożej ciąga za sobą konsekwentnie naukę o przeznaczeniu. Wywód jest zupełnie logiczny: nie można przecież przypuścić, aby cokolwiek stało się wbrew woli wszechmocnego stwórcy; jeśli zaś stało się to z jego wola, to znaczy, że człowiek nie mógł postąpić inaczej, niż postąpił, i właściwie mówiąc, ewentualny grzech, to znaczy—odpowiedzialność za spełnione przestępstwa powinna obciążać nie grzesznika, lecz kierownika jego losów, który przed wiekami jeszcze przeznaczył mu ten grzech. Takie pojmowanie przeznaczenia jednak wprowadziłoby niebezpieczny zaczyn do spraw kościelnych, gdyż mogłoby pozbawić kapłanów całkowitej ich władzy. Bo, istotnie, jeśli już zgóry przeznaczone mi jest iść do piekła za grzechy, które muszę popełnić, to za co mam płacić księdzu, który wyroków boskich zmienić nie może? A jeśli przeznaczone mi jest niebo po śmierci, to mogę sobie zaoszczędzić trudu cnoty i kosztów utrzymania kościoła, który nie mocen jest popsuć mi u boga dobrej noty.

To niebezpieczeństwo zażegnywają rozmaite kościoły w rozmaity sposób, usiłując pogodzić przeznaczenie boskie z wolną wolą człowieka.

Według ścisłego tekstu biblii, Jehowa nie jest wszechwiedzącym: tworząc coś, nie wie sam jeszcze dokładnie, co z tego wyjdzie i co robić będą jego twory; daje im jedynie surowe i często niezrozumiałe nakazy i zakazy, obiecując nagrodę za posłuszeństwo i grożąc ciężkimi karami za swawolę — poczem zostawia im wolny wybór. Z tego wynika, że żydowsko-biblijna religja nie zna właściwie „przeznaczenia“; Jehowa pała gniewem na nieposłusznych i postanawia ich zgładzić z oblicza ziemi, ale skrucha lub prośby jego wy-

znawców i ewentualnie—pośredników między ziemią a niebem często uśmierzają gniew jego i pozwalają grzesznikowi pogodzić się z bogiem. Jest więc Jehowa istotą o wiele mądrzejszą, o wiele potężniejszą od człowieka, ale bynajmniej nie wszechmądrą, skoro się niejednokrotnie myli, do czego sam się przyznaje, i nie wszechwiedzącą, ponieważ, pozostawiając wybór swego losu człowiekowi — nie wie zgóry, co ten sobie obierze, i w dodatku nie wszechmocną, ponieważ władzę swą dzieli z innymi bogami, o których jest bardzo zazdrosny.¹⁾ Z takim bogiem i jego nakazami można się poważnie liczyć, jako z potężnym sojusznikiem lub groźnym przeciwnikiem, lecz nie może tu być mowy o „przeznaczeniu zgóry“, które wymaga własności superlatywnych, do jakich biblijny Jehowa nie rości sobie pretensji.

Pojęcie o chrześcijańskim bogu, tak jak je szkicowali ojcowie kościoła, odbiegło pod tym względem bardzo znacznie od swego pierwowzoru; przypuszczalnie pierwotna charakterystyka Jehowy uległa już była znacznym zmianom przez nauki filozofów-kapłanów judejskich, i Paweł apostoł opisywał go w swych listach już nie na podstawie biblij, a według pojęć, w jakich sam wzrósł.

W tem oświeceniu bóg już był tym superlatywem z nieograniczoną wiedzą i władzą, wobec czego musiała logicznie powstać nauka o przeznaczeniu, wzmożona później przez greckie i rzymskie pojęcia fatalizmu (Ananke, Fatum). Na tym punkcie południowo-europejskie poglądy zlały się z ideami wschodnio-azjatyckimi a później surowe germańskie umysły doprowadziły wiarę w przeznaczenie do godności pierwszorzędnego dogmatu.

¹⁾ Por. Józef Landau: — „Szkice przeciwwyznaniowe: — Jedyny Bóg-Jehowa“, Warszawa 1923.

Kalwin np. uczy, że człowiek jeszcze przed urodzeniem otrzymuje od boga swoje przeznaczenie do zbawienia lub potępienia, bez względu na sposób życia. Jak podobny bezwzględny wyrok godzi się z miłosierdziem boskiem, jest to już tajemnica szwajcarskiego proroka.

Najtwardszy orzech do zgryzienia miał pod tym względem kościół rzymski; ogłosiwszy naukę Kalwina za herezję, musiał jednak uznać, że przeznaczenie istnieje, by nie zaprzeczyć wszechwiedzy i wszechwładzy boskiej. Wyjaśnienie tej zawilej sprawy podaje kościół rzymski w następujący sposób (cytujemy pg. Dogmatyki katolickiej ks. M. Sieniatyckiego):

„Bóg chce wszystkich ludzi zbawić, wszystkim też już od wieków postanowił dać w swoim czasie łaski dostateczne, by się mogli zbawić. Ale ponieważ jest wszytkowiedzący, więc wie, którzy z ludzi będą z temi łaskami współpracować i tych Bóg przeznacza do nieba i ci napewno się zbawią; widzi znowu innych, którzy z łaskami im użyczonemi nie będą współpracować i dopuszcza, żeby ci się potępiłi.

A zatem przeznaczenie do nieba, czy potępienie, zależy od naszego współpracownictwa z łaską, lub zaniechania tego współpracownictwa“.

Jak widzimy, kościół rzymski usiłuje tu przeprowadzić tezę, która w języku naukowym brzmiałaby, jak następuje:

Nie wolno być fatalistą i wierzyć, że bez względu na wszelkie wysiłki ludzkie, los człowieka jest zgóry już wykreślony. Niemniej wszakże, każdy skutek ma swoją przyczynę, i ktoś, coby znał wszystkie bez wyjątku przyczyny poprzednie, mógłby nieomylnie przewidzieć przyszłość. Otóż ponieważ bóg jest wszytkowiedzącym, zna więc wszystkie siły i przyczyny, między którymi istnieje również i wola człowieka, jako jeden

z czynników działających, wobec czego przyszłość nie ma przed nim tajemnic.

Podobne poglądy deterministyczne wygłaszał wielki samotnik Emanuel Kant. W dziele swem p. t. „Krytyka praktycznego rozumu (1787) Kant pisze:

„Z punktu widzenia czasu i jego prawidłowego porządku, gdybyśmy mogli wniknąć w duszę człowieka, taką, jaką się objawia przez czyny zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne, poznać wszystkie motywy, nawet najdrobniejsze, a jednocześnie wziąć pod uwagę wszystkie wpływy zewnętrzne, moglibyśmy obliczyć postępowanie w przyszłości tego człowieka z taką samą pewnością, jak zaćmienie księżyca lub słońca.”

Ale i starożytnym czasom podobna filozofja deterministyczna nie była obca. Cycero w słynnym swoim traktacie „De Divinatione“ (lib. 1, cap. 55) w następujący sposób określa stosunek przewidywania przyszłości do fatalizmu:

„Aby sobie zdać sprawę z odgadywania przyszłości, należy wrócić do bóstwa, do losu, do natury. Rozum zmusza nas do przyznania, że wszystko rządzone jest przez los. Nazywam losem to, co grecy nazywali „Eimarmene“, t. zn. porządek, szereg przyczyn, powiązanych ze sobą, powodujących skutki. Oto ta wieczna prawda, której źródło jest w samej wieczności. Według tego, nie ma w przyszłości, czegoby natura nie zawierała już (poprzednio) dostatecznych przyczyn. W ten sposób los będzie wieczną przyczyną wszechrzeczy, przyczyną, która wyjaśnia i fakty spełnione, i fakty obecne, i fakty przyszłe. W ten oto sposób przez obserwację można wiedzieć, jakie są najczęściej skutki każdej przyczyny. Bez wątpienia to właśnie powiązanie przyczyn i skutków wyjaśnia objawienie (natchnienie — inspiratio) i sny. Dodajmy, że wobec tego, iż wszystko jest kierowane przez los, gdyby mógł istnieć śmiertelnik zdolny do

poznania łączności wszystkich przyczyn, człowiek ten nigdy by się nie mylił. W samej rzeczy ten, ktoby znał przyczyny wypadków, nie mógłby nie znać całej przyszłości“.

Widzimy, że kościołowi nie brak było gotowych form do wyjaśnienia wszechwiedzy boskiej i przeznaczenia na podstawie filozofii deterministycznej, gdyż Cyncero zmarł w r. 43 przed narodzeniem Chrystusa. Jest tu wszakże pewna zasadnicza różnica, która całe to tłumaczenie czyni zupełnie absurdalnym.

Chodzi mianowicie o to, że co innego jest wszechwiedza, a co innego wszechmoc. Zupełnie logicznie dowodzą filozofowie, że ten ktoby znał wszystkie przyczyny, włączając w to i nastrój duchowy, czyli wolę jednostki, mógłby ze skończoną dokładnością przewidzieć przyszłość; nie znaczy to jednak, że mógłby wolą swoją wpłynąć na zmianę biegu rzeczy, gdyż do tego potrzebna byłaby jeszcze była moc, której jasnovidz nie posiada. Przypuśćmy, że stojąc nad brzegiem morza widzę, że rekin zbliża się do kąpiącego się dziecka; z mego wzniesionego stanowiska widzę wyraźnie rekina i dziecko, mierzę okiem oddalenie dziecka od brzegu, znam szybkość ruchów jednego i drugiego i z całą pewnością twierdzę, że rekin chwyci swą ofiarę. Przewiduję więc proroczco przyszłość, o której nic nie wie dziecko. Ale nie mam możności zapobiec katastrofie — jestem bezsilnym świadkiem faktu, który umiem przewidzieć, ale którego nie mogę zmienić.

Inna sprawa ze wszechwiedzającym i zarazem wszechmocnym bogiem. Taki bóg nietylko wie, że łańcuch przyczyn i skutków doprowadzi stworzonego przezeń człowieka do utraty zbawienia, ale mógłby siłą swej wszechwładnej woli zmienić bieg wypadków i dać swemu tworowi okoliczności, umożliwiające mu ocalenie od wiecznego potępienia. Jeśli tego nie czyni, to dlatego, że nie

chce, a więc z całą świadomością przeznaczają tego człowieka na zgliszcze. Wobec tego wola człowieka nie może tu już odgrywać żadnej roli.

Na tym punkcie kalwinizm jest stanowczo konsekwentniejszy od rzymskiego katolicyzmu, a fatalizm mahometański jest najlogiczniejszą koncepcją religijną.

Ale te rzymsko-katolickie, zarówno jak i inne sekciarsko-chrześcijańskie poglądy na przeznaczenie mają jeszcze inną stronę, której nie należy pominąć milczeniem.

Według religii chrześcijańskich człowiek rodzi się w następujący sposób: rodzice tworzą ciało dziecka, bóg zaś zesyła noworodkowi duszę, która jest częścią boga. W tym rozumieniu dusza jest czysta, bezgrzeszna, jedyny grzech ciała—grzech pierworodny—zostaje zmyty przez chrzest, czyli że po chrzcie nowonarodzony człowiek jest stanowczo bezgrzeszny, i gdyby wypadkiem umarł, dusza powróciłaby do nieba, skąd przyszła.

Ale wszechwiedzący bóg wie przecież, że to dziecko zostanie dajmy na to heretykiem, mahometaninem, buddystą, poganinem, lub, co gorsza, wolnomyślicielem, i że z tego tytułu niewinna i bezgrzeszna dusza skazana zostanie na wieczne potępienie; czyli innymi słowami: bóg świadomie przeznacza dużą większość dusz, przysyłanych na ziemię, do piekła, świadomie skazuje na wieczne męki olbrzymią liczbę swoich czystych, nieskalanych aniołów. Dlaczego? POCO? Jeśli bóg stracił do piekielnych aniołów, którzy podnieśli przeciwko niemu bunt, to jeszcze taką karę można zrozumieć, chociaż nie można zrozumieć, POCO bóg stworzył tych aniołów, o których zgóry przecież powinien był wiedzieć, że się będą przeciwko niemu buntowali. Ale stało się,—nie mówmy o tem, co było niegdyś.

Ale teraz? Po tylu smutnych doświadczeniach z upadłymi aniołami, po tylu tysiącoleciach istnienia ludz-

kości, przy nieskończonem miłosierdziu i dobroci boskiej, powoływanie do życia ciał ludzkich tylko po to, aby przez nie przeznaczać na **obowiązkowe** potępienie przeczyste dusze niebiańskie, bez nadziei i bez możliwości zbawienia — jest już nietylko niczem nie usprawiedliwione, ale przedewszystkiem jest nielojalne w stosunku do niewinnych dusz, które w ten sposób zostają na wieki pozbawione nieba.

Dla kontrastu z nielogiczną chrześcijańską nauką o przeznaczeniu, przyjętą również w całości przez mahometan. przypomnijmy sobie, jak ta sprawa została ujęta przez ludy aryjskie tam, gdzie pojęcia semickie nie miały dostępu, mianowicie w Indjach.

ŚWIATOPOGLĄD ARYJSKI.

Budda naucza: czyny człowieka nie giną bez śladu, lecz odbijają się w jego aurze, tworząc karmę, ściśle z duszą człowieka złączoną. Po śmierci jego, duch wraz z karmą swoją wciela się w inne stworzenie, które w ten sposób przynosi na świat gotowe **predyspozycje** do czynów dodatnich lub ujemnych. Ale ta predyspozycja nie jest bynajmniej **predestynacją**, przeznaczeniem; przeciwnie, człowiek może i powinien oczyszczać duszę swoją od złej karmy i w ten sposób doskonalić ją: poto właśnie żyje na świecie. A oczyszcza ją od karmy właśnie przez dobre uczynki, przez doskonalenie swego umysłu, przez rozwój swych sił intelektualnych. Jeśli po całym szeregu wcieleń, wciąż wyższych, wciąż doskonalszych, oczyści swoją duszę od karmy, wtedy staje się większym od duchów i od bogów, aż wreszcie — w najwyższym stadium rozwoju i doskonałości przechodzi do nirwany, do niebytu, czyli dusza jego już się więcej nie odradza.

Znaczy to, że człowiek nie jest przez nikogo przeznaczony do zbawienia lub potępienia, że żaden nieliłościwy a bezwzględny wyrok nad nim nie ciąży; jego przyszłe życie jest ściśle związane z jego życiem obecnym, a zbawienie zależy tylko od niego samego, od jego własnej woli. Żaden bóg, ani żaden szatan, ani żaden kapłan nie wiedzą zgóry, co człowiek ze swego ducha zrobi, i nie wpływa na to, aby był zbawiony lub potępiony; losy swoje człowiek trzyma sam w swoim ręku.

Śmiemy twierdzić, że porównanie tych dwóch światopoglądów, semickiego i aryjskiego, stanowczo wypada na korzyść tego ostatniego: jest logiczniejszy, moralniejszy, czystszy i bezinteresowniejszy.

Wracając do sprawy przeznaczenia, zastanówmy się jeszcze nad jednym momentem.

ABDYKACJA BOGA.

Wszechwiedzący bóg wie zgóry, kto będzie zbawiony, a kto będzie potępiony, niechybnie więc wie także, którego człowieka ksiądz rozgrzeszy, a którego nie rozgrzeszy. To jest zrozumiałe. Ale w jaki sposób ksiądz, który nie jest wszechwiedzącym, może wiedzieć, kogo bóg przeznaczył do nieba, a kogo do piekła?

A wiedzieć musi, boć bez rozgrzeszenia nikt się do nieba nie dostanie! Musielibyśmy zatem przypuścić, że i każdy kapłan jest narówni ze swym bogiem wszechwiedzący, i tylko wtedy udziela rozgrzeszenia, gdy wie z całą pewnością, że dany człowiek został przeznaczony do nieba. W przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że ktoś rozgrzeszony i namaszczone świętymi olejami był akurat przeznaczony do piekła, i nie zostanie zbawiony, pomimo świadectwa księdza. A toby się znów sprzeciwiało słowom ewangelji: „Których odpuściecie

grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymanie, są zatrzymane“. (Jan XX — 23).

Że jednak żaden kanon żadnego kościoła nie świadczy o wszechwiedzy kapłana, gdyż nawet nieomylność rzymskiego papieża w rzeczach wiary nie jest równoznaczna ze wszechwiedzą, należy przeto wyjaśnienia powyższej zagadki szukać na innem polu. I oto narzuca się jedyne logiczne jej rozwiązanie:

Oddawszy kapłanom prawo odpuszczania grzechów, bóg tem samem **zrzekł się własnowolnie** prawa łaski i miłosierdzia, a nawet wogóle prawa sądu. Jako wszechwiedzący — wie, że kapłan mógł się omylić i udzielić rozgrzeszenia przestępcy nawet dla korzyści osobistych; ale **nie ma prawa** przeciw wyrokowi swego zastępcy protestować. Jestto stosunek prawny szefa do prokurenta: prokurent może na podstawie swego pełnomocnictwa popełnić nadużycie na niekorzyść swego mocodawcy, który tego czynu nie może już obalić, o ile został spełniony prawnie i formalnie; co najwyżej — może odwołać swoje pełnomocnictwo na przyszłość.

MODLITWA.

Tak więc prawo rozgrzeszania, udzielone kapłanom, pozbawiło logicznie boga władzy nad ludźmi. W konsekwentnym tego wyniku — modlitwa do boga staje się zupełnie bezprzedmiotowa. I rzeczywiście: jeśli wyrok kapłana na ziemi jest ostateczny, to prośba, skierowana do boga o łaskę lub rozgrzeszenie jest zbyteczna, a nawet — z kościelnego punktu widzenia — staje się herezją. Możliwość obalenia przez boga wyroku kapłana jest absolutnie niedopuszczalna, bo pociągnęłaby za sobą zlekceważenie władzy kościoła. Conajwyżej możnaby było błagać boga, aby wszechmocą swoją wpłynął na serce kapłana, iżby ten grzesznikowi udzielił

rozgrzeszenia. Jeśli jednak to ostatnie można otrzymać krótszą i łatwiejszą drogą, przez chodzenie po odpustach, ofiary pieniężne na kościoły i t. p., to idąc po linii najmniejszego oporu — należy modlitwę do boga wogóle wykreślić z życia pobożnego człowieka, zastępując ją odpowiedniem porozumieniem się z księdzem.

ROZGRZESZENIE.

Odpuszczanie grzechów przez kapłanów jest rzeczą chyba tak starą, jak świat, a w każdym razie — jak religja. Jestto najistotniejsza, najbardziej silna opoka, na której wszelkie kościoły budowały i budują gmach swojej władzy doczesnej. Pojęcie rozgrzeszenia jest zresztą tak ściśle połączone z samem pojęciem grzechu, że jedno jest jakby logicznem dopełnieniem drugiego. Bo jeśliby człowiek mógł sam, własną mocą, własną, że tak powiem, pracą zmywać swoje grzechy, wtedy pośrednictwo kapłana stałoby się niepotrzebne, a samo jego istnienie — zbędne. Widzieliśmy już, jak przy sprawie z grzechem pierwородnym kapłan, i tylko kapłan, może człowieka osłonić przed gniewem boga mocą swojej władzy oczyszczania i rozgrzeszania.

To wyłączne prawo osądzania grzechu i oczyszczania grzeszników daje kapłanom dwie olbrzymie prerogatywy: popierwsze czyni ich właścicielami wszystkich nawet najgłębszych tajemnic ludzi, którzy przecież, chcąc otrzymać rozgrzeszenie, muszą się z nich uprzednio wypowiedzieć; powtóre — otrzymanie rozgrzeszenia jest zawsze połączone ze składaniem ofiar, rozumie się — na rzecz boga, za pośrednictwem kapłana, który się uczciwie z bogiem dzieli.

Już u najdzikszych ludów spotykamy się z tym stosunkiem pośrednictwa między ludźmi grzeszącymi a bogiem przebaczącym; niestała, ale poważną dzie-

sięcinę od grzechów pobierają rozmaici czarownicy, czarodzieje, szamani, derwisze i wszelkich innych mian kapłani. Naturalnie — im wyższy rozwój religii, tem te daniny stają się bardziej uporządkowane i większe.

U starożytnych egipcjan mamy już zupełnie ugruntowaną hierarchję kapłanów, działających sprawnie i karnie w kierunku wydobycia jaknajwiększych ofiar od ludności kraju wzamian za grzechy spełnione. Wysokość opłaty wyznacza się nie w stosunku do ciężkości grzechu, lecz do zamożności grzesznika, co jest zupełnie słuszne i racjonalne z fiskalnego punktu widzenia.

Niemniej wszakże i tam już istniało pewne określone minimum odszkodowania dla boga za grzech, tak że na grzech pierwszej klasy mógł sobie pozwolić już tylko człowiek bogaty i nie skąpy, a biedniejsi zmuszeni byli żyć cnotliwie pod grozą wiecznego potępienia.

W biblji mojżeszowej ofiary zagrzeszne są ściśle określone, zarówno jak i inne; wyraźnie nakazana jest spowiedź dla otrzymania rozgrzeszenia i oczyszczenia; opłaty dla kapłanów są objęte dokładnym cennikiem, z wyraźnem zaznaczeniem, co spożyje z ofiary sam Jehowa, a co się dostanie jego kapłanom i lewitom. Przeważnie Jehowa kontentował się dymem palonego na ołtarzu tłuszczu, resztę zaś mięsa, mąki i t. d. zabierali na swój i swych rodzin użytek kapłani i lewici. Można z tego wywnioskować, że tłuszcz nie należał w Palestynie do ulubionych potraw ludzkich, co jest zupełnie zrozumiałe w tak gorącym kraju. Gdyby biblja była pisana pod biegunami, to tłuszcz niechybnie zabieraliby kapłani, a Jehowa musiałby się kontentować racicami i rogami zwierząt.

Ale do szczytu doskonałości doprowadził system odszkodowania boga za grzechy—kościół chrześcijański. Cennik opłat za rozgrzeszenie był zróżniczkowany w Rzymie do najdrobniejszych szczegółów, same roz-

grzeszenia były już wygotowane zgóry na piśmie i opatrzone podpisami i pieczęciami „in blanco“, pozostawiało tylko opłacić cenę bieżącą podług taryfy i rzecz załatwiona: bóg przyjmował do wiadomości tranzakcję, zawartą w jego imieniu przez jego prokurentów, i grzech nawet najcięższy, zostawał zmywany. Dla ułatwienia ludziom grzesznym, a zasobnym w mamonę, nabywania owych świadectw cnoty i świętości, Rzym miał zawsze na składzie dostateczną ilość towaru, a nawet rozsyłał komiwojażerów po całej Europie z kuframi, pełnymi rozgrzeszeń w doborowym gatunku. Słowem, w owych czasach drobnych rzemiosł i handlu Rzym pierwszy dał światu chrześcijańskiemu przykład wspaniałej organizacji wielkiego przemysłu i handlu międzynarodowego, czem się tak szczyli dzisiaj mieszczaństwo ucywilizowanych państw.

Nie wchodząc w szczegóły tej organizacji, która dziś zresztą zmienia już formę pod wpływem oburzenia większej części kulturalnej Europy i powstałej na tem tle reformacji z Lutrem na czele, zajmiemy się obecnie jedynie wyjaśnieniem podstaw religijnych, na których opiera kościół chrześcijański swe wyłączne prawo udzielania grzesznikom rozgrzeszeń i odpustów.

SKARB ŁASK.

Stolica rzymska uważa siebie za bezpośredniego następcę Piotra apostoła, który jakoby otrzymał od Chrystusa, łącznie zresztą z innymi apostołami, prawo „związywania i rozwiązywania“, to znaczy prawo odpuszczania grzechów. Naturalnie—o jakiembądź wynagrodzeniu za to mowy niema, przeciwnie ewangelja mówi wyraźnie: darmoście otrzymali, darmo oddajcie. Przypuszczalnie też w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wszelkie sakramenty były ludowi udzielane darmo,

choć już św. Paweł w listach swoich wzmiankuje, że miałby prawo do wynagrodzenia za swoją pracę, albowiem pracownik w winnicy powinien otrzymać zapłatę.

Rozwój wszakże hierarchji kościelnej z konieczności doprowadził do ściągania podatków z wiernych. Zwyczaj biblijna dziesięcina nie mogła zaspokoić wciąż rosnących apetytów kapłanów, z drugiej zaś strony gotowy obyczaj okupu za przestępstwo wnieśli do kościoła rzymskiego świeżo nawróceni germanowie, którzy posiadali już ścisły cennik odszkodowań, t. zw. „Wergeld.“ Nie trudno więc było kościołowi przejść od zasady „zadośćuczynienia“ do prostszej, łatwiejszej, a bardziej dochodowej zasady „odszkodowania,“ z tą tylko poważną różnicą, że „Wergeld“ u germanów otrzymywał bądź sam poszkodowany, bądź też jego rodzina lub gmina, kościół zaś chrześcijański uważał logicznie, że ponieważ odpuszczenie winy zależy od dobrej woli kapłana, słusznem więc jest, aby i wynagrodzenie wpływało do kieszeni tegoż kapłana.

Uzasadnienie teoretyczne tego, bądź co bądź nowego w prawodawstwie europejskiem, poglądu dorobił do utartego już zwyczaju jeden z najdowcipniejszych świętych kościoła powszechnego, „doctor irrefragabilis,“ franciszkanin Aleksander z Hales, żyjący w Anglii w wieku XIII.

Wytłumaczył on, że krew przelana przez Chrystusa na krzyżu była tak drogocenna, że jedna jej kropla wystarczyła do zbawienia całej ludzkości. Ponieważ zaś śmierć Jezusa miała za jedyny cel zbawienie ludzi, a krwi polało się przy tem bardzo dużo, pozostał więc olbrzymi zapas łaski zbawienia, któryby się zupełnie bezużytecznie zmarnował. Ponieważ jednak nie można przypuścić, iżby bóg nadaremnie przelewał swą nieocenioną krew, musiał więc w tej szczodropliwości być jakiś cel. Otóż właśnie celem tym było przygoto-

wanie zapasu łask dla przyszłych pokoleń, które też będą grzeszyły, a których już nie będzie odkupywał żaden Chrystus, bo przecież wyraźnie było powiedziane, że najbliższe przyjście Chrystusa odbędzie się dopiero w godzinę sądu ostatecznego, czyli wtedy, gdy na odpuszczenie grzechów już będzie zapóźno.

Toteż, twierdził ów wielki scholastyk, ta niby niepotrzebnie przelana krew Zbawiciela stanowi ów „Skarb łask,” z którego czerpać mogą zastępcy Chrystusa na ziemi dla dostarczenia grzesznikom rozgrzeszenia.

Zupełnie jest naturalnem, że tak dowcipna teoria znalazła zupełne uznanie kościoła, który, mając klucz do owego skarbcza łask, począł niemi szafować swobodnie, sprzedając krople krwi Chrystusa pod postacią odpuszczania grzechów za brzęczącą monetę. W ciągu trzystu lat handel ten wydoskonalił się prawie do ideału, a skarbiec zawsze był pełny, bo niedobory były zapełniane przez nadwyżkę zasług świętych ludzi, którzy spełniali więcej uczynków zbożnych, niż to było potrzebne do zbawienia ich jednej duszy.

W końcu XV i na początku XVI wieku ten otwarty handel krwią Chrystusa doszedł do takiego rozwydrzenia, że co uczciwsi ludzie, a zwłaszcza ci najbardziej wierzący, najpoboźniejsi, zbuntowali się w końcu przeciw kościołowi, który z wojującego stał się handlującym, i zapoczątkowali reformację (Luter—1517). Dal-szy przebieg tego rozłamu już nas w tem miejscu nie zajmuje.

ODPUSTY.

Ale kościół rzymski nie dał w zupełności za wygrane: by nie utracić reszty uczciwych swych zwolenników, musiano zaniechać otwartego handlu indulgen-

cjami, ale niemniej utrzymano źródło dochodu, nadając handlowi nieco inną formę: ustanowiono odpusty i dobrowolne ofiary.

Wielki i sławny sobór Trydencki wyklina i skazuje na wieczne męki każdego, kto by się ośmielił zaprzeczyć, że kościół rzymski ma prawo odpuszczania grzechów. Znalazł się też jeszcze jeden dowcipny doktor teologii, który wykombinował, że ponieważ ogień czyścowy nie jest wieczny, więc i czyściec należy do tych kar doczesnych, które kościół ma moc odpuszczać całkowicie lub częściowo. Ale że nikt nie może przecież zmusić kapłana do udzielenia mu odpustu, należy więc z nim być w dobrej komitywie. Jeśli więc nawet niema ustanowionej taksy, to jednak pozostaje „dobrowolna ofiara“; jestto bardziej honorowe, a niemniej dochodowe.

Teraz więc sprawa przedstawia się w ten sposób, że do dawnych odpustów, ustanowionych jeszcze w XIV wieku, a oznaczających Rzym jako miejsce pielgrzymki odpustowej, dodano różne inne miejscowości, rozsiane po całym katolickim świecie, których odwiedzanie w pewne określone dni lub miesiące w połączeniu ze składaniem ofiar oraz odprawianiem nabożeństw, pociąga za sobą odpuszczenie grzechów na tym świecie (częściowe lub całkowite) oraz skrócenie kary czyścowej na tamtym świecie o 6, 10, nawet o 100 dni, a nawet, jeśli chodzi o jubileuszowy rok w Rzymie, całkowite skreślenie próby ogniowej w czyśccu.

Jak widzimy, kościół rzymsko-katolicki nie tylko pozbawił boga na swoją korzyść prawa sądenia grzechów ludzkich na ziemi, nie tylko odebrał mu prawo przeznaczania dusz do nieba lub do piekła, lecz w dodatku wziął sobie wyłączną władzę ułaskawiania według swego uznania grzeszników, odbywających już karę w czyśc-cu za uprzednią zobopólną zgodą kościoła i boga.

LATA JUBILEUSZOWE.

Chyba żaden rozsądny, a znający się nieco na finansach, człowiek nie wątpi, że prawo udzielania całkowitych odpustów zarezerwował Rzym dla siebie, pozostawiając innym miejscowościom i ich biskupom odpusty częściowe, zdaje się do wysokości 100 dni ognia czyszcowego; bo też jazda do Rzymu kosztuje znacznie drożej, niż np. dla francuzów do Lourdes, lub dla polaków do Częstochowy, czy Kalwarji; no i przecież w Rzymie nie można dać ofiary drobnej, jak w jakiejś Pipidówce, czy innem miejscu odpustowem.

Jak wielkie są dochody Rzymu z roku jubileuszowego, kiedy to można otrzymać całkowity odpust, dowodzi najlepiej ciągle skracanie terminu owego roku.

A więc ustanawia go w r. 1300 papież Bonifacy VIII, określając następny termin za 100 lat. Ale już w r. 1343 papież Klemens VI uważa, że szkoda czekać tak długo na przyływ pieniędzy i skraca termin do lat 50. Papież Urban VI w r. 1389 uznaje i ten termin za zbyt długi dla skarbu swego, i skraca go do lat 33. W niespełna 100 lat później, bo w r. 1470 papież Paweł II jeszcze raz robi dokładny bilans i skraca termin do lat 25. Jednocześnie, obawiając się, aby następcy jego nie doprowadzili rzeczy do zupełnego absurdu, urządzając co dwa lata — rok jubileuszowy, oświadczył, że ten skrót jest już ostateczny, i że żadnych zmian więcej wprowadzać nie wolno.

To też stały termin roku jubileuszowego obecnie jest zasadniczo co lat 25. Nie przeszkadza to jednak temu, że papieże, nie mogąc tak długo czekać na zasilenie swego skarbu, urządzają od czasu do czasu pozatutowe lata jubileuszowe z okazji jakiejś uroczystości, o które przecież nie trudno w kościele rzymsko-katolickim. Tak np. papież Leon XII urządza rok jubile-

uszowy w r. 1826 z okazji swego wstąpienia na tron, zaś papież Leon XIII—w pierwszą rocznicę swego wstąpienia na tron w roku 1879, a następnie, zachęcony widocznie dobrym rezultatem uroczystości, jeszcze w latach 1881, 1886, 1888. A wszystkie te jubileusze dawały całkowity odpust wszelkich win i kar, z ogniem czyścicowym włącznie.

Widać z tego, że handel indulgencjami na zasadzie wyłącznego prawa szafowania krwią Chrystusa kwitnie dziś nie gorzej niż 400 i 500 lat temu, tylko forma tego handlu nieco się zmieniła.

Osobiście uważam, że zmiana jest na gorsze, nie na lepsze: dawniej grzesznik wiedział, za co płaci, i kupował tylko tyle rozgrzeszeń, ile mu trzeba było do zbawienia; mógł nawet kupić sobie zgóry rozgrzeszenie za zbrodnię, którą dopiero miał zamiar popełnić. To było jasne, wyraźne, i nie narażało ludzi na niepotrzebne wydatki.

Tymczasem dziś człowiek pobożny, nie wiedząc, jaka kara grozi mu po śmierci, chodzi po jubileuszach i gromadzi odpusty na ślepo; gdy zaś po śmierci okazuje się w bilansie, że więcej zdobył w sumie lat odpustu, niż miałby wycierpieć kary w czyścicu za popełnione grzechy, ta cała nadwyżka, zdobyta potem jego i pieniędzmi, przelewa się automatycznie z powrotem do „skarbu łask“ bez żadnego odszkodowania dla zbawionego grzesznika, pozbawionego w ten sposób prawa rozporządzania swoją niezaprzeczoną własnością.

DWIE DROGI.

Ale napróźnobyśmy usiłowali drogą dowodzenia logicznego lub spokojnej perswazji przekonać zastępców boga o niestosowności tego lub innego zarządzenia: w każdym podobnym wypadku każdy bez wyjątku kościół

powołuje się na wyjaśnienie, otrzymane bezpośrednio od samego boga, czy to będzie Jehowa, czy Chrystus, czy Manitu, czy Jowisz. Wobec tego zaś, że my nie mamy możliwości porozumiewania się z bogami i sprawdzania, czy taka jest rzeczywiście ich wola, pozostaje nam do wyboru tylko jedna z dwóch ewentualnych dróg:

Albo uznamy na ślepo prawdę podawaną nam przez kościoły jako objawienie—

Albo odrzucimy wszelkie wyjaśnienia i wskazania kościołów, uważając, że nasza prawda, jedyna dla nas rzeczywista, tkwi w nas samych, i że do zrozumienia naszej prawdy niepotrzebny nam jest żaden pośrednik ani żadne cudze objawienie.

My, wolnomyśliciele, wybraliśmy tę drugą drogę.

KONIEC.



SPIS TEMATÓW.

	strona
Wstęp	5
Zbawienny lęk	8
Prawdy i przesady	9
Katechizm wyznaniowy	13
Katechizmowe określenie wiary	15
Wiara, religia, wyznanie	17
Gradacja pojęć społecznych	20
Dogmat	21
Dogmat a aksjomat	23
Rozwój dogmatów kościoła chrześcijańskiego	26
Prawo własności	28
Wyłomy w dogmatach	31
Inercja	32
Grzech pierworodny	36
Podanie biblijne	37
Przypuszczalne znaczenie alegorii	39
Dosłowne pojmowanie podań	42
Konsekwencje dosłownego pojmowania podań	44
Chrzest	48
Dzieci niechrzczone	50
Obrzezanie	54
Przeznaczenie	62
Światopogląd aryjski	68
Abdykacja boga	69
Modlitwa	70
Rozgrzeszenie	71
Skarb łask	73
Odpusty	75
Lata jubileuszowe	77
Dwie drogi	78